

# KAMENIA

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

LUBLIN

31.X.1964

Nr 20 (306)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

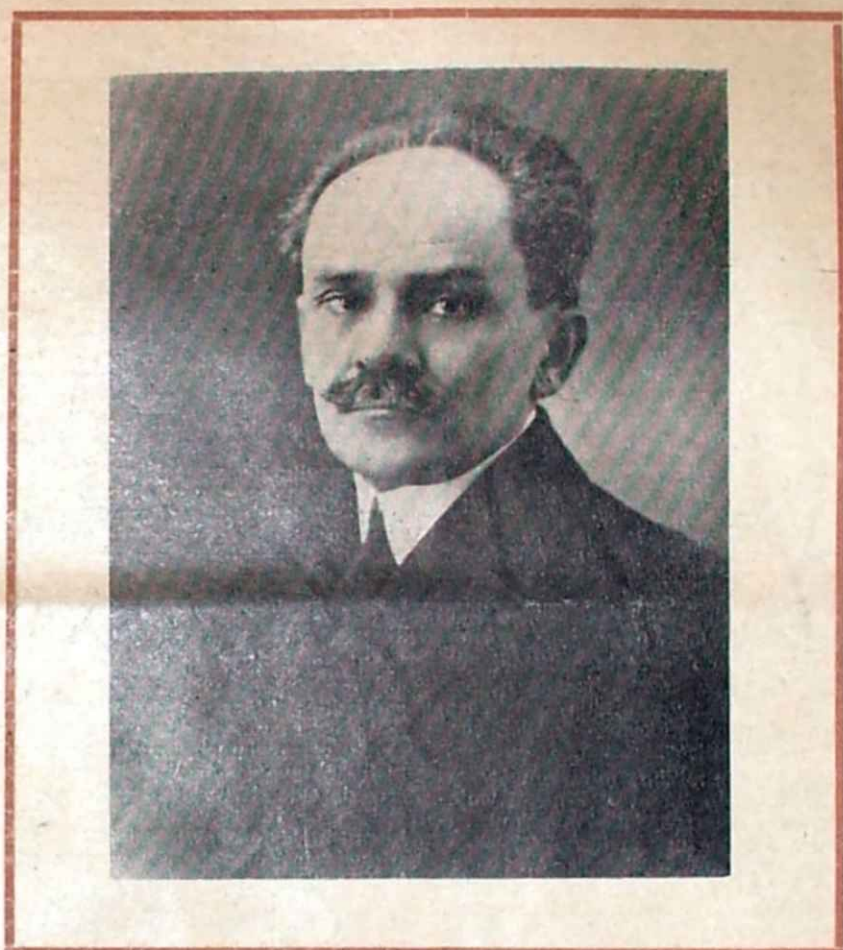
## OSOBOWOŚĆ ŻEROMSKIEGO

ARTUR HUTNIKIEWICZ

**B**ADANIA nad osobowością jednostek twórczo uzdolnionych nie cieszą się wśród historyków literatury ani szczególnie uznaniem ani nawet dobrą opinią. Wydają się po prostu nazbyt dowolne, subiektywne, oparte na podstawach i materiale niesłychanie niepewnym, w swej dowodowej wartości problematycznym. Niewątpliwie jest w tym sceptycyzmie dość sporo racji. Sprawa jest istotnie delikatna i trudna, wyniki będą chyba zawsze hipotetyczne. A jednak uświadomiamy sobie wszystkie nasuwające się w tym przedmiocie wątpliwości niepodobna opędzić się myśli, że pomijając tę strefę badań nad sztuką tracimy coś niewspółmiernie doniosłego, rezygnujemy dobrowolnie z jakiegoś elementu, który dla poznania i zrozumienia dzieła wydaje się niezwykle istotny. Jeśli uznajemy za wskazane i za konieczne nawet wykrywanie owych wielostronnych powiązań, jakie łączące mogą czyjaś twórczość pisarską z życiem społecznym i politycznym, z artystycznymi i umysłowymi prądami czasu, to dlaczegoż za rzecz niewłaściwą i naukowo podejrzaną miałoby uchodzić zajmowanie się duchową, ludzką indywidualnością artysty, która na zdrowy rozsądek rzecz biorąc wydaje się być pierwszą sprawą przyczyną wszelkiej twórczej czynności. Wszak nawet cały ów świat zewnętrzny, któremu skłonni jesteśmy przypisywać tak doniosłe znaczenie w formowaniu wytworów sztuki, kształtuje je przecież i formuje poprzez medium świadomości pisarza. A świadomość nie jest niezapisaną i martwą kliszą, rejestrującą mechanicznie zewnętrzne bodźce, spośród mnóstwa wrażeń dokonuje ona ustawicznie wyboru, przetrwawia je, modyfikuje i asymiluje na swój własny, indywidualny sposób, zgodny z wrodzonymi i nabytymi skłonnościami, dyspozycjami, uczuleniami i idiosyncrazjami, jednym słowem i z tym wszystkim, co jest w człowieku dziełem biologii i jego doświadczeniem życiowym i co go w pewnym sensie determinuje, określa, czyni zeń indywidualność, jedyną i niepowtarzalną.

Psychologia współczesna rozstrzygnęła ten dylemat już dawno. Człowiek w swej psychicznej osobowości jest poznawalny, daje się określić, zdefiniować i wytłumaczyć. A więc i artysta nie jest świętą mgłą tajemnicy, kimś niepojętym i raz na zawsze w swej zagadkowości niedociecznym. Zwłaszcza jeśli dysponujemy dostatecznie pewnym i wiarygodnym materiałem dokumentarnym, epistolarnym, wspomnieniowym, pamiętnikarskim, który daje pewne podstawy do zrekonstruowania mniej lub więcej prawdopodobnego obrazu jego fizjonomii duchowej.

Wśród wielkich twórców naszej lite-



ratury narodowej Żeromski należy niewątpliwie do rzędu tych, którzy w sposób szczególnie mogą budzić niepokój i ciekawość badawczą od tej właśnie strony. Sprawa to przede wszystkim samo dzieło tego pisarza, dzieło bardzo intymne, chciałoby się rzec spowiednicze, a więc suponujące, że źródło jego należałoby szukać w jakichś bardzo osobistych doznaniach artysty. Miało ono poza tym zawsze jakąś wyjątkową zdolność prowokowania namiętnych i gorących reakcji, pozytywnych i negatywnych. Dzieło takie z natury rzeczy interesuje nie tylko samo przez się, ale skierowuje jednocześnie naszą ciekawość w stronę swego sprawcy. Kim był człowiek, którego słowo tak zawsze wytrąca z równowagi, tak nie pozwala przejść obok obojętnie?

W biografistyce literackiej podejmowano już kilkakrotnie próby określenia tej zagadkowej osobowości spoglądając się słusznie znaleźć w analizie charakterologicznej wyjaśnienie wielu tajemnic samego dzieła. Jeden z pierwszych zrobił to bodaj Zygmunt Wasilewski, krajan Żeromskiego ze stron kieleckich, a potem najbliższy towarzyszy i współpracownik w Bibliotece Raperswilekiej, Wasilewski zanotował kilka ciekawych spostrzeżeń charakterologicznych, których trafność potwierdziła później Oktawia Żeromska, a zatem świadek w danym wypadku niepodważalny i jak najbardziej autorytatywny.

W r. 1936 ukazała się niezwykle interesująca książka Stefana Bałęja, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, o osobowości twórczej Żeromskiego. Autor w oparciu o współczesne badania psychologiczne i neuropsychologiczne

usiłował określić podstawowe konstancy organizacji twórczej Żeromskiego i wywieść z nich pewne charakterystyczne właściwości i skłonności jego sztuki pisarskiej. Dzieło Bałęja napotkało niestety na grunt zupełnie nie przygotowany i w rezultacie wśród historyków literatury żywszego rezonansu nie wywołało. Były to zresztą lata ofensywy formalizmu i fenomenologii, dla których badania tego rodzaju były co najmniej podejrzane.

Potem przyszła wojna, a po niej warunki jak najmniej sprzyjające podobnym dociekanom. Tymczasem lata ostatnie dzięki publikacji młodzieńczych *Dzienników*, dzięki rozmaitym wspomnieniom i listom pisarza, których okazały się rozmiarami kodeks przygotowany do druku prof. Pigoń, stworzyły poważną podstawę źródłową do zajęcia się właśnie samym człowiekiem. To, co można by w tej chwili w tym przedmiocie powiedzieć, będzie rzecz jasna tylko hipotezą, jakąś próbą zaledwie, rekonesansem, ale sądzę, że bez prób tego rodzaju nasza wiedza i o Żeromskim samym i o jego twórczości będzie miała zawsze jakieś piętno uproszczeń i niezrozumienia istotnych intencji autora.

Gdy mówi się o osobowości pisarza, niepodobna pominąć pewnych faktów biograficznych, które w połączeniu z pewnymi dyspozycjami konstytucyjnymi dają właśnie to, co osobowością człowieka zwykliśmy nazywać. A więc stale, na przestrzeni całego niemal życia niezadowolający stan zdrowia. Jest rzeczą oczywistą, że człowiek chronicznie chory widzi i odczuwa rzeczywistość inaczej niż czło-

(Dokończenie na str. 6)

## W KLIMACIE ŻEROMSKIEGO

WALDEMAR BABINICZ

**N**IE wiem, w jaki sposób dowiedział się, że napisałem to opowiadanie. Przeczytałem je w grocie godnych zaufania siedmiu — ośmiu gospodarzy, moich sąsiadów. Ale w czterdziestym trzecim wiadomości na wsi przeciekały różnymi kanałami. Przwiechał na linijce, wysoki, szczapowaty, przywiązał lejce do mojego konia, zarzucił koniowi torbę z obrokiem, długo, hałaśliwie wycierał nos na ganek. Od progu wyjaśnił, że piszę słownik geograficzny do utworów Żeromskiego. Pokazał jakieś grube tomisko. Było w nim dużo map, szkiców, planów sytuacyjnych i drobnym, równym piśmem objaśnienia. — Gdyby wpadł w ręce gestapo — pomyślałem — zakatowali go na śmierć. Nigdy by przecież nie uwierzył, że chodzi o literaturę. Tyle planów, dróg, ścieżek?

— O — pokazywał na mapce — tędy szedł Radek z Pińczowa do Klerykowa. Tędy miał najbliższą. Tu, gdzie ten krzyżyk, odpoczywał.

Gdzieś, daleko na końcu wsi, wśród wściekłego ujadania psów, rozlegały się znane okrzyki: Schwelne — Hunde, los, los. — Zandarmi zabierali kontyngent, wprowadzali krowy, świnie, owce, a on tłumaczył, jaką trasą posuwał się Radek, którego szedł Odrowąż, jakimi ulicami uciekał nauczyciel Majewski i jak daleko — o tą oto ścieżką — z Bodzentyna do Świętej Katarzyny.

Nawet nie wiem, kim był z zawodu. Pracował w jakiejś spółdzielni, jako księgowy, zdaje się. — Wojna się skończy — tłumaczył — i moja skromna praca przyda się zaraz pierwszego dnia. Jakże można zacząć żyć w wolnym kraju bez Żeromskiego? Sam pan rozumie.

Dał mi do przejrzenia tę swoją pracę. Patrzył mi na ręce — Proszę, niech pan sobie obejrzy. W pańskim opowiadaniu jest coś o Żeromskim, są realia, lepiej, żeby pan pisał na pewniaka. Może pan sobie wynotować coś nie-coś.

W kilka miesięcy później zjawiała się żona. Właściwie już wdowa. Wydali jej ciało męża. Biegła po mojej izdebce, objęła się o ściany, mały warkoczek podrygiwał komicznie, zawodziła głośno, wbiegli sąsiedzi, ustawili się pod ścianami, niemi, z załamanyimi rękami, posągowi. Któryś z nich zapytał: — A ta książka? Schwała pani?

Wdowa załkała krótko. — Zabrali. O nią poszło. O Żeromskiego. Ludzie, bili go na moich oczach. Oko mu wypłynęło. — Dla kogoś to robił? — pytała. A on swoje: — Dla Żeromskiego. Nie słyszeliście. To pisarz, polski pisarz.

— Mogli nie słyszeć — wtrąciła się do rozmowy moja gospodyni. — Przecież to Niemcy. Trzeba było jasno wytłumaczyć, jak i co.

Ciągłe mam ten obraz w pamięci. Zatarło się nazwisko, już nie przysięg-

(Dokończenie na str. 8)



# Czyściej, jaśniej, zdrowiej

MIECZYSLAW KACZOR



MIECZYSLAW KACZOR  
WICEPRZEWODNICZĄCY PREZ. WRN  
W RZESZOWIE

**P**RZEMIANY społeczno-gospodarcze Rzeszowszczyzny są w okresie ostatniego zwłaszcza roku tematem szeregu interesujących publikacji prasowych i radiowych. Od Rzeszowszczyzny rozpoczęła Telewizja Polska prezentację poszczególnych regionów kraju w cyklicznych audycjach poświęconych różnym problemom województw. Temat „rzeszowski” wszedł do tygodników społeczno-literackich i prasy codziennej. Rzeszowskie coraz częściej widziane jest nie przez pryzmat egzotyki Bieszczadów ale piszący właśnie tu szukają interesujących konfrontacji dwudziestolecia Polski Ludowej z dwudziestolecie międzywojennym. Nie są to podróże daremne.

Zmieniła się nie tylko trasa dziennikarskich penetracji, ale zmienił się również ton publikacji o Rzeszowszczyźnie. Myślę, że było to możliwe nie na skutek jakiegoś gwałtownego przyływu sympatii dla naszego regionu, ale dzięki coraz lepszemu, bliższemu przyglądnięciu się zjawiskom zachodzącym w tej części kraju. Zawsze byliśmy zdania, że tylko bliższe poznanie problemów i konfliktów zachodzących w różnorodnych procesach społecznych „województwa z awansu” może uchronić od kolportowania o nim legend i mitów.

Dwadzieścia lat temu 18 sierpnia 1944 roku odbyła się w ratuszu pierwsza sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, która dała początek istnieniu województwa rzeszowskiego powołanego formalnie w rok później, 7 lipca 1945 roku.

Front stał jeszcze na linii Karpat i przebiegał przez Krosno, Jasło, Dębicę, Mielec i Baranów.

Gdy sięgam pamięcią w tamte lata, gdy odtwarzam w myśli wydarzenia, których byłem świadkiem, lub uczestnikiem, wtedy uświadamiam sobie ogrom zmian, jakie nastąpiły na tym terenie, zmiany, jakie objęły wszystkie podstawowe dziedziny naszego życia.

Jest, wydaje mi się, w dorobku społecznym Rzeszowszczyzny kilka zjawisk szczególnych. Być może nie wszystkie można udokumentować obszerną statystyką, a jednak wymowa ich jest czysto optymistycznym, czymś co każe wierzyć w wielkość i humanistyczny sens naszych socjalistycznych przemian.

Wieś Markowa w powiecie łancuckim szczyty się swoją słynną, po wielokroć opisywaną, nagrywaną, filmowaną spółdzielnią zdrowia, pierwszą w historii naszego kraju spółdzielnią tego typu, powstałą jeszcze w latach 30-tych. Przypominam sobie rozmowy, jakie prowadziłem z mieszkańcami tej i okolicznych wsi na temat powstania tej spółdzielni. Jeden z moich rozmówców opowiadał mi:

„W sąsiedniej wiosce rodzica żona jednego z biedniejszych gospodarzy. Znajdująca się przy niej „babka” nie mogła sobie dać rady, trzeba było sprowadzić lekarza. Mąż kobiety pojechał gdzieś konia u sąsiadów i pojechał do Przeworska po pomoc. Lekarz zażądał od niego sumy, jakiej on nie miał przy sobie. W rezultacie chłop wrócił do domu sam. Kobieta po kilku godzinach zmarła. Zostało po niej czworo drobnych dzieci.

Pamiętam, że ten wypadek tak

wstrząsnął opinią wsi, że kiedy było zebranie, na którym zapisywali do spółdzielni zdrowia, w jednym dniu zgłosiło się kilkudziesięciu chętnych”.

Franciszek Gil pisał w „Sygnalach” w 1939 roku o tym pierwszym okresie działalności spółdzielni:

„Spółdzielnia markowska płaci podatki, statutu jej sąd nie chciał zatwierdzić, przyrzeczono jej subwencję na budowę nowego gmachu, jeśli przestoczy się w Ośrodek Zdrowia. To uprawianie polityki na zdrowiu 75% ludności jest tak niesamowite, jak niesamowita jest w swej naiwności wiara mieszczucha, pogląd inteligencji, że gruźlica to sutereza, zaduch, kurz wielkiego miasta. A tymczasem świeże powietrze wiejskie, dzieci śpiące w jednym łóżku z matką chodzącą z otwartą gruźlicą, to słońce i pogoda zgranych, upracowanych wyrobników wiejskich...”

„Jadę w Rzeszowskie: w Słocinie, Luty, Gliniku żyją jeszcze wróże przypisywane w skupieniu i modlitwie leki dla chorych, których nigdy na oczy nie widzieli, i krów nie mogących się ocieplić, mówią gdzie trzeba kopać studnie.”

Żyją jeszcze wróże, żyje i działa szczydło Spółdzielni Zdrowia, ale PAT filmuje wyrąb lasu na Huculszczyźnie i hitlerowskie parademarsze; a dla radia wieś jest ciągle malowaną Stryjską...”

Jeden z pionierów walki z gruźlicą w województwie rzeszowskim, doktor Tadeusz Lewicki, przypominając lata przedwojenne pisał w roku 1961:

„Choć trudno w to uwierzyć, faktem jest, że w 1938 roku mieliśmy w Polsce około 2.000 łóżek sanatoryjnych, istniało 630 poradni przeciwgruźliczych posiadających zaledwie 80 aparatów rentgenowskich. (...)”

Pomimo usilnych starań nie dochodziło do uchwalenia przez Sejm ustawy przeciwgruźliczej.

Na ziemi rzeszowskiej tylko dwie poradnie, w Łancucie i Mielcu, miały aparaty rentgenowskie. Tylko w Rzeszowie był lekarz fizjatr. Nie było ani jednego łóżka szpitalnego, czy sanatoryjnego do leczenia gruźlicy. Polskie Towarzystwo Przeciwgruźlicze mogło wysłać rocznie na własny koszt do sanatorium jednego — dwóch chorych na gruźlicę”.

Na około 2 miliony mieszkańców zamieszkałych teren obecnego województwa rzeszowskiego mieliśmy zaledwie 346 lekarzy medycyny i 47 lekarzy dentyistów, 163 magistrów farmacji i 357 położnych. Fachowcy ci mieszkali głównie w miastach i ogromna, w setki tysięcy idąca liczba mieszkańców wsi była praktycznie pozbawiona opieki lekarskiej i możliwości leczenia się. Istniejących 9 szpitali ogólnych dysponowało zaledwie 1.019 łóżkami, przy czym łóżka te były podzielone na klasy. Opłata za dobę w klasie najniższej, trzeciej wynosiła 8 zł. Było to na owe czasy ceny niesłychanie wysokie, z góry przekreślając możliwości leczenia dla przeciętnego rolnika. Dla zestawienia rozmiarów kosztów leczenia warto przypomnieć, że robotnicy sezonowi pracujący w majątku obszarnika Jakubowskiego Bóbrce otrzymywali za dniówkę roboczą 30 groszy, w majątku Polskiej Akademii Umiejętności w Krzeczowicach płacono na dniówkę 70 groszy dziennie, a w folwarkach ordynata Potockiego, jednego z największych obszarników w Polsce, młodzi chłopcy i dziewczęta otrzymywali za tzw. „dniówkę słoneczną”, za pracę od świtu do nocy, 60 groszy dziennie.

Zestawienie 8 złotych za dzień pobytu w szpitalu, 5, 10, czy nawet 20 zł za wizytę lekarską z groszowymi zarobkami tych chłopów, którzy mogli dostać pracę poza swoim gospodarstwem, jest czymś wstrząsającym, czymś co dziś po latach wygląda wręcz niewiarygodnie. Jeśli do tego dodamy, że w roku 1939, a więc roku, w którym założono już podwaliny pod szeroko reklamowany COP, na około 2 miliony mieszkańców z bezpłatnych świadczeń ubezpieczalni społecznej mogło korzystać zaledwie 27.120 osób, łatwo wyobrazić sobie, jak wyglądała opieka lekarska nad przeważającą liczbą mieszkańców ówczesnej Rzeszowszczyzny. Byliśmy terenem o katastrofalnej zachorowalności na gruźlicę, śmiertelność niemowląt należała

do najwyższych w kraju i wynosiła 139 dzieci na 1000 urodzonych. Nie było sprawy przypadku, że wśród postulatów i żądań wysuwanych w czasie różnego rodzaju walk i demonstracji obok żądań ekonomicznych i politycznych, obok postulatów powszechności oświaty, sprawy ochrony zdrowia należały do najczęściej podnoszonych przez robotników i chłopów tego terenu.

Tych kilka przykładów zostało przytoczonych nie dla efektownych porównań i konfrontacji. Jesteśmy przecież województwem, w którym szereg problemów z zakresu otwartego i zamkniętego leczenia, powszechności leczenia nie zostało jeszcze rozwiązanych. Ciągłe na przykład brakuje nam kadr lekarskich, brakuje lekarzy szereg specjalności. Ciągłe jeszcze zbyt mało mamy lekarzy pracujących bezpośrednio na wsi, a wskaźniki liczby lekarzy na 10.000 mieszkańców w niektórych powiatach województwa należą do najniższych w kraju. Odczuwamy ostry brak łóżek na oddziałach zakaźnych. Ciągłe jeszcze np. województwo nasze dostarcza 1/5 wszystkich przypadków tęcza w kraju. Większość przypadków pochodzi ze wsi. Mamy znaczną liczbę chorych na gruźlicę i mimo bardzo intensywnej akcji prowadzonej od lat przeciw tej chorobie jest ona ciągle najgroźniejszą chorobą społeczną naszego terenu.

Ale równocześnie jedno z najbardziej zaniedbanych województw, województwo, które jeszcze w prawie trzy lata po zakończeniu wojny przeżywało krwawe walki obejmujące całą południową i wschodnią część Rzeszowszczyzny, potrafiło oddać dla leczenia gruźlicy ponad tysiąc łóżek szpitalnych i sanatoryjnych. Połowe tego, co dała w latach 1938—1939 dla tych celów cała sanacyjna Polska! Równocześnie mimo braku kadr, zbyt małej jeszcze liczby poradni matki i dziecka zmniejszono śmiertelność niemowląt ze 139 w roku 1939 do 40 w roku 1963 na 1000 urodzonych. W tym samym czasie przedłużono życie przeciętnego mieszkańca województwa z 48 do 63 lat. Piękny to prezent — piętnaście dodatkowych lat życia na dwudziestolecie PRL.

Sojusznikami w tej wielkiej powszechnej pracy nad stałym podnoszeniem kultury sanitarnej naszego społeczeństwa są w coraz szerszym stopniu organizacje społeczne, młodzieżowe. Piękną pracę na tym polu prowadzi ponad czteremilionowa organizacja Polskiego Czerwonego Krzyża. Poważne rezultaty w swej pracy profilaktycznej, a także inwestycyjnej ma Społeczny Komitet do Walki z Gruźlicą, który jest inicjatorem budowy szeregu poradni przeciwgruźliczych w powiatach, angażując wokół nich aktywność społeczny i społeczne środki. Od kilku lat rozwija się na wsi prowadzona wspólnie ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej i służbą zdrowia jesienno-zimowa praca oświatowo-sanitarna.

Szkoły zdrowia organizowane są obecnie coraz częściej w wyniku zapotrzebowania na nie ze strony samej młodzieży. Okazuje się, że problematykę oświatowo-sanitarną szereg kół potrafi połączyć z zagadnieniami wychowawczo-politycznymi, wzbogacając jesienno-zimowy program szkoleniowy o nowe wartości.

Od kilku lat prowadzimy w województwie prace nad upowszechnieniem idei higienizacji wsi. Jeśli uwzględnić ogromne zaniedbania komunalne, jakie miała do odrobienia rzeszowska wieś i które kładą się ciągle wielkich ciężarów na szereg jej zbiorowych poczynań, łatwo zrozumieć, dlaczego nie osiągnęliśmy rezultatów, jakie założyliśmy w naszych planach.

Jedno jest tu jednak symptomatyczne. Nie mamy w zasadzie, jak było jeszcze kilka lat temu, trudności z upowszechnieniem wskazówek dotyczących właściwej lokalizacji budynków mieszkalnych i innych budynków w zagrodzie. Chłopi doceniają znaczenie słońca i światła w mieszkaniach. Buduje się tych nowych domów coraz więcej. Co roku wydajemy 18—19.000 zezwoleń na budowę nowych domów na wsi.

Propozycje dotyczące prawidłowego lokalizowania studni w nowych gospodarstwach spotykają się na ogół z pełnym zrozumieniem. Swoją drogą, problem wody pitnej dla wsi staje się dziś jednym z najważniejszych problemów, problemem wykraczającym poza komunalne jedynie ramy.

Ubiegłoroczne epidemie duru brzusznego w województwie sygnalizują istnienie niebezpieczeństwa, od którego nie można odwołać alarmu. Staramy się więc problemy higienizacji wsi wiązać z całkowitałtem działalnością oświatowo-sanitarnej w woje-

## XX-lecie UMCS

23 października 1964 r. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej obchodził XX-lecie swego istnienia. Uroczystości zaszczylił swoją obecnością przedstawiciel najwyższych władz partyjnych i państwowych: przewodniczący Rady Państwa, członek Biura Politycznego KC PZPR tow. Edward Ochab, sekretarz KC PZPR tow. Witold Jaroński, sekretarz Rady Państwa tow. Julian Horodecki i minister szkolnictwa wyższego tow. Henryk Gołański.

W godzinach rannych w gmachu Teatru im. J. Osterwy odbyła się uroczysta inauguracja 21 roku akademickiego UMCS. Po południu w dziedzińcu uniwersyteckim tow. Witold Jaroński dokonał odświeżenia pomnika Marii Curie-Skłodowskiej.

W najbliższym numerze „Kamery” zamieścimy szereg materiałów dotyczących pierwszego uniwersytetu w Polsce Ludowej.

województwie. Służba sanitarno-epidemiologiczna, która w pracę komitetów higienizacji wsi włożyła wiele wysiłków postuluje konieczność takiego właśnie kompleksowego działania. Szukamy więc dróg dotarcia do młodzieży szkolnej, a za jej pośrednictwem do rodziców. Podpowiadamy rozwiązania możliwe do wykonania: poprawę czystości obejścia, mieszkanie, obory, podniesienie higieny osobistej. Wiemy, że szereg wsi dzięki współdziałaniu komitetów higienizacji wsi, kół gospodyń wiejskich, Związku Młodzieży Wiejskiej, miejscowego ośrodka zdrowia przeprowadziło konkursy na najbardziej czystą i estetyczną zagrodę. Wiemy, że w roku bieżącym w szkołach województwa rzeszowskiego prowadzona jest intensywna praca nad podniesieniem poziomu czystości ucznia, klasy, szkoły.

Jakie są rezultaty tak prowadzonej pracy? Wszelkie wyliczenia statystyczne są tu dość trudne. Ale dla ilustracji chciałbym posłużyć się następującym przykładem:

Przed kilkoma laty rzeszowskie Kuratorium, Polski Czerwony Krzyż i Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna zorganizowały w szkołach, podobnie jak to było zresztą w innych rejonach kraju, Tydzień Higieny Jamy Ustnej.

Przypominam sobie, że pomysł i nazwa akcji miała prócz zwolenników również oponentów. (Dlaczego nie Tydzień Higieny Ucha?...)

Akcja ta rozwinęła się w szkołach dość pomyślnie. Zainteresowanie nią było duże. A rezultaty? W niektórych powiatach wykupiono cały zapas leżących miesiącami bezużytecznie, szczoteczek do zębów.

Pisząc o tym niewielkim wycinku problemów województwa, zdaje sobie sprawę, że ukazanie ich złożoności i bogactwa wymaga pióra publicystów i reporterów. Jest, moim zdaniem, w tej problematyce wiele materiału, pasjonujących przykładów, które każą wierzyć w humanizm naszych czasów.

Kiedy przypominam sobie relację o śmierci kobiety z łancuckiej wioski, tej niepotrzebnej śmierci sprzed lat trzydziestu, która jest wypadkową ówczesnych stosunków społecznych, kojarzę ten fakt z innym. Tym, który wdarzył się tej zimy w małej wiosce w lasach Nasiczne w Bieszczadach.

Dwa identyczne fakty. I tu i tam poród. Skomplikowany, grozący śmiercią matki i dziecka. W Bieszczadach drogi zasypane śniegami. Do najbliższego ośrodka zdrowia wiele kilometrów pełnych śnieżnych zasp drog. W łancuckiej przy telefonie zrozpaczony mąż wzywa pomocy. Do Nasiczne może dotrzeć tylko sanitarny helikopter z Sanoka. Ale maszyna nie może odlecieć. Przylatuje śmigłowiec z Krakowa. Warunki lotu fatalne. Pilot i lekarz decydują się jednak na lot. Odnajdują osadę. Ładują szczęśliwie. A potem w prasie ukazuje się wzmianka: „Matka i dziecko czują się dobrze. Życiu ich nie zagraża niebezpieczeństwo”.

Jest w tych dwu faktach coś więcej niż normalna zmiana „techniki” komunikacji.



# Stefan Żeromski w tłumaczeniach na języki obce

EDMUND ROSNER

**S**TEFAN Żeromski nie należy do najczęściej tłumaczonych pisarzy. Twórczość jego, chociaż ceniona przez historyków literatury różnych narodowości i przyjmowana również z dużym zainteresowaniem przez krytykę literacką w wielu krajach, nie posiadała w świecie tej popularności, co Henryk Sienkiewicz ze swoimi dziełami. Nie miejsce tutaj na rozważanie przyczyn tego zjawiska. Wystarczy powiedzieć, że stosunkowo mała ilość tłumaczeń autora „Popiołów” ma swoje źródło m. in. w charakterze jego twórczości. Często tłumaczy się dzieła pod kątem odbiorcy. Ważna jest więc kompozycja fabularna książki, niemająca roli odgrywa też bliskość tematyczna dzieła w stosunku do obcego czytelnika, wreszcie komunikatywność języka i cały szereg innych czynników. To tłumaczy, dlaczego nierzadko pisarze mniejszej rangi zyskują sobie powodzenie także poza granicami ich ojczyzny. Recepcja dzieł tłumaczonych jest zresztą bardzo różna w poszczególnych krajach, inny jest odbiór literatury polskiej w Anglii, a czego innego szukają w utworach pisarzy polskich czytelnicy np. rumuńscy. Zagadnienie jest bardzo złożone. Trzeba jednak tutaj jeszcze stwierdzić, że wielką rolę w spopularyzowaniu dzieł poszczególnych twórców mają do spełnienia polskie przedstawicielstwa kulturalne w świecie.

Nie omawiając szerzej problemu rezonansu dzieł Żeromskiego w świecie chciałbym zapoznać czytelników z ostatnimi tłumaczeniami utworów tego pisarza. W związku z rocznicami Żeromskiego nasuwa się bowiem szereg pytań: Czy największy pisarz polski naszego stulecia jest szeroko znany poza Polską? Jakiego utworu są najczęściej tłumaczone? Do jakich krajów dotarły dzieła Żeromskiego? To tylko kilka z tych pytań, które stawiają sobie miłośnicy prozy autora „Przedwiośnia”.

Dotąd przetłumaczono różne dzieła Żeromskiego na około 20 języków. Przede wszystkim autor „Promienia” znany jest w Europie. Już za życia pisarza ukazały się jego książki m. in. w jęz. angielskim, czeskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim, szwedzkim, włoskim. Potem przyszły jeszcze

inne tłumaczenia. Dzisiaj czyta się Żeromskiego ponadto w Finlandii i Bułgarii, na Węgrzech i w Rumunii, w różnych językach w Związku Radzieckim i w Jugosławii. Rocznie ukazuje się od dwóch do sześciu tłumaczeń jego utworów.

Ciekawe jest też zestawienie tytułów tłumaczonych dzieł. Według niekompletnego z pewnością zestawienia przetłumaczono tylko po wojnie „Ludzie bezdomni” — 9 razy, „Popioły” — 6 razy, „Dzieje grzechu” — 3 razy. Przetłumaczono też: „Syzyfowe prace” i „Przedwiośnie”, a poza tym m. in. „Promień”, „Silaczki”, „O żołnierzu tułaczem”, „Zmierzch”. Jak z tego wynika, najważniejsze dzieła prozy beletrystycznej Żeromskiego znalazły się wśród tłumaczeń z literatury polskiej, mniejsze natomiast zainteresowanie wzbudza jego publicystyka i twórczość sceniczna, co wydaje się być zjawiskiem uzasadnionym.

Największą popularnością cieszą się dzieła Żeromskiego w dwóch krajach słowiańskich, a mianowicie w Czechosłowacji i w Związku Radzieckim, chociaż po wojnie najwcześniej wydano „Wierną rzekę” i „Popioły” w tłumaczeniu Krystyny i Kłotyldy Garosci we Włoszech, gdzie książki te trafiły na żyzny grunt zainteresowania dla polskiego pisarza, trwając jeszcze z czasów jego licznych pobytów w tym kraju i wydobycia z niepamięci sylwetki włoskiego bohatera powstania styczniowego — Fr. Nullo.

W Czechosłowacji tradycje Żeromskiego także sięgają początków XX w. Po raz pierwszy dotarł on do czytelników czeskich w 1907 r., kiedy jako 37 tom „Knihovny Zlate Prahy” ukazały się jego „Powidki”. Od tamtego czasu wydano około 16 książek pod nazwiskiem Żeromskiego w języku czeskim, a także kilka w języku słowackim. Przetłumaczono m. in. „Ludzie bezdomni” (ostatnie wydanie w 1949 r.), „Wierną rzekę” (np. wydanie z 1950), „Dzieje grzechu”, „Urode życia”, „Przedwiośnie”, „Popioły” (1957) i „Rozdział o nas krukach, wrony” (1959). Także w czasopiśmie pojawiają się drobne tłumaczenia z Żeromskiego, rozszerzając w ten sposób zasięg oddziaływania pisarza polskiego. Szereg tłumaczy są dość

liczne. Twórczością Żeromskiego interesował się żywo Karol Rypaček, z którym pozostawał w kontakcie listownym Żeromski. Powojenne tłumaczenia ukazały się m. in. dzięki wysiłkowi Józefa Rumlera, H. Jechovej, Vlasty Dvoračkové i Heleny Tejšovej. W spopularyzowaniu Żeromskiego w Czechach duże zasługi położył też profesor uniwersytetu w Pradze — dr Karel Krejčí, autor kilku rozpraw o literaturze polskiej, który wiele z wydań czeskich opatrzył w posłowia.

W Słowacji Żeromski ma także wielu czytelników. W ostatnich latach ukazały się tam m. in. „Wierna rzeka”, „O żołnierzu tułaczem”, „Popioły”, „Syzyfowe prace”, a w przygotowaniu jest słowackie wydanie „Dzieł grzechu” (1965). Warto tutaj dodać, że obszerne studium o autorze „Przedwiośnia” napisał w języku słowackim Józef Banský.

Drugim krajem, gdzie Żeromski jest szczególnie często wydawany, jest — jak już wspominałem — Związek Radziecki. Ogłoszona w 1949 r. w Leningradzie bibliografia tłumaczeń podaje pod nazwiskiem polskiego pisarza 34 pozycje wydawnicze. Są to najważniejsze utwory autora, głównie powieści, ale też inne dzieła, m. in. przełożono na język rosyjski fragmenty „Dzienników”, które wchodziły w skład czterotomowego wydania dzieł Żeromskiego, ogłoszonego w 1957—1958. „Izbrannyye sochineniya” red. E. M. Jegorowej w tłumaczeniach W. W. Witt, E. F. Usijewicz, E. N. Tropowskiego i in. przyniosła m. in. „Syzyfowe prace”, „Ludzie bezdomni”, „Popioły” i „Wierną rzekę”. Osobno w ostatnim czasie ukazały się też „Bezdomnyje” („Ludzie bezdomni” — 1949), „Utwory wybrane” (1954), „Dzieje grzechu” (1961), wybór nowel „Polskaja nowella” (1949) przynosi zaś „Doktora Piotra”. Ranga pisarska Żeromskiego w ZSRR jest duża. Świadczy o tym m. in. monografia „Stefan Żeromskij” napisana przez miłośniczkę jego prozy Wiwianę Władimirowną Witt. Wydała ją w 1961 r. Akademia Nauk ZSRR w Moskwie i stanowi ona cenne źródło do poznania świata myśli polskiego pisarza. O zainteresowaniu dla Żeromskiego świadczą wreszcie też tłumaczenia na inne niż rosyjski języki. Tak np. powieść „Ludzie bezdomni” ukazała się na Litwie (1958), Łotwie (1959) i w Estonii (1960), „Promień” po kirgizku (1960), a „Dzieje grzechu” po litewsku.

Także w kilku językach ukazują się utwory Żeromskiego w Jugosławii. W ostatnich dwudziestu latach notujemy serbskie tłumaczenie „Silaczki”, opublikowane w „Polska pripovestka” w 1948 r. i chorwacki zbiór nowel „Pripovijestki” w opracowaniu J. Benešicia (1947). W Beogradzie i Lublanie ukazały się ponadto „Popio-

ły” (1947), „Przedwiośnie” (55) i „Ludzie bezdomni” (1956).

Obraz tłumaczeń dzieł Stefana Żeromskiego w latach 1944—1964 nie byłby jednak pełny, gdyby pominięto niemieckie, węgierskie, bułgarskie i rumuńskie wydania kilku jego powieści i nowel. Głównie lipskie wydawnictwo Reclam, w którym wydano już kilka utworów pisarzy polskich, dwukrotnie rzuciło na niemiecki rynek księgarski zbiorek dwu nowel: „Silaczki” i „Doktora Piotra” w przekładzie Vitalisa Zielińskiego, także antologia opracowana przez J. Z. Jakubowskiego i A. Miłską pod tytułem „Die Kette. Polnische Meistererzählungen” uwzględniła Stefana Żeromskiego, wreszcie w 1961 r. „Verlag der Nation” w Berlinie wydał w przekładzie Albina Klöcknera „Promień”. Są to tylko ostatnie przekłady na język niemiecki, kilka powieści Żeromskiego w języku niemieckim ukazało się już za życia pisarza i w latach następnych. Na Węgrzech zestawienia bibliograficzne notują trzykrotnie pozycje książkowe Żeromskiego, m. in. dwukrotnie, bo w 1955 i 1959 r. Magyar Könyvtárod w Budapeszcie wydało „Wierną rzekę”, w Bułgarii ukazały się: „Ludzie bezdomni” (1957), „Popioły” (1958) i „Przedwiośnie” (1959). Jest to głównie zasługa sofijskiego wydawnictwa „Narodowa Kultura” i dwu tłumaczy: Stefana Ilčewa i Dimitra Ikonomowa. W Bukareszcie wreszcie ukazały się w 1959 r. „Ludzie bezdomni” pt. „Doctorul Jidy” w tłumaczeniu J. Soare i Rodice Ciocan. Pozycja ta znalazła się w serii klasyków literatury światowej i opatrzona została wnikliwym wstępem Olgi Zaitić.

Jak z tego prawie suchego zestawienia wynika, pion tłumaczeń Stefana Żeromskiego w ostatnich dwudziestu latach nie jest specjalnie duży. Ukazało się w całości około pół setki książek pod nazwiskiem wielkiego syna Kielecczyzny w językach obcych. Kraj oddziaływania jednak wyraźnie się rozszerzył. Cieszy duże zainteresowanie, jakie te przekłady wzbudziły w wielu krajach. Pod względem popularności w świecie bije wprawdzie Żeromskiego np. Henryk Sienkiewicz, niemniej trzeba stwierdzić, że nie jest on w Europie pisarzem obcym i chociaż w krajach zachodnich zainteresowanie dla twórczości autora „Dzieł grzechu” zmalało po jego śmierci, to łatwo zauważyć renesans oddziaływania jego dzieł np. w Związku Radzieckim i w Czechosłowacji i stosunkowo duże zainteresowanie dla jego twórczości w Jugosławii, na Węgrzech, w Rumunii, Bułgarii i w NRD. Przypuszczać należy, że zainteresowanie to nie zmaleje w następnych latach i Żeromski dotrze też do wielu krajów, gdzie dotąd jego utwory są nieznane.

**P**OD rękopisem komedii „Uciekła mi przepióreczka” położył Żeromski datę 7 stycznia 1924 r. W tym samym roku napisana została „Puszcza Jodłowa”, ostatnia z wydanych za życia prac pisarza. Czy jest między obu utworami jakiś związek, czy ich sąsiedztwo — uzasadnione? Nie spieszymy się z odpowiedzią.

„Przepióreczka” powstawała w czasie, kiedy Żeromskiego zaprzątała idea regionalizmu. Mówił o niej w „Snoibizmie i postępie”, należy też ona do głównego nurtu jego komedii. Kto tę ideę w sztuce reprezentuje — Przełęcki, jego koledzy, czy Smugon i jego współpracownicy, to sporna, ale całkowicie odrębna sprawa. Ważniejsze będzie pytanie, z jakich doświadczeń, z jakich inspiracji narodziła się „Przepióreczka”. Na pewno miał Żeromski w pamięci swoje własne doświadczenia wyniesione z Nałęczowa, z czasów żywej działalności oświatowej i kulturalnej towarzystwa „Światło”. Tutaj mógł znaleźć wzory swoich zapalnych działaniach profesorów. Wśród prelegentów „Świata” byli przecież specjaliści wysokiej klasy, a na terenie Nałęczowa można w tamtych latach spotkać zapalnych miłośników i zbieraczy rzeczy regionalnych, żeby wymienić W. Lasockiego, H. Wiercińskiego, B. Małewskiego czy doktora Sacewicza.

Jest także uzasadnione przekonanie, że „Przepióreczka” wyzyskiwała doświadczenia regionalistycznej działalności Aleksandra Patkowskiego, autora pięknej książki pt. „Sandomierskie”, jednego z pionierów idei regionalistycznej w Polsce. I to jest chyba trop właściwy, bo prowadzi ku rajskiej dla Żeromskiego ziemi — w krainie Gór Świętokrzyskich. Patkowski od 1922 roku organizował dla nauczycieli szkół powszechnych kursy na

tematy związane z sandomierską ziemią. Wykładowcami byli profesorowie uniwersytetu. Żeromski bardzo się tymi kursami interesował, Patkowski prowadził z nim korespondencję w tych sprawach. Być może, iż nawiązanie kontaktu z Żeromskim mógł Patkowskiemu ułatwić jego ojczym Stefan Przełęcki, kolega Żeromskiego z kieleckiej szkoły. We wstępie do wydanych przed paru laty pism A. Pat-

lesie dzieciństwa i młodości. — choć tyle już lat nie dano mi go słyszeć na jawie! Przebiegam w marzeniu wyniosłe góry — Łysiec, Łysiec, Strawczanę, Bukową, Stróżnę. — góry moje domowe — Radostową i Kamień, — oraz wszystkie dalekie siostrzyce”. I jeszcze parę zdań z innego miejsca: „Miarą przestrzeni była i jest dla mnie odległość różnych miejsc w tamtych stronach. Dwie

## GLOSSA DO „PRZEPÍÓRECZKI”

TADEUSZ KŁAK

kowskiego Piotr Banackowski wprost pisze, iż Żeromski obdarzył tytułowego bohatera wieloma cechami Patkowskiego: „Kto znał bliżej Aleksandra Patkowskiego, może się dopatrywać w tych słowach [Smugoniowej o Przełęckim] pewnych rysów jego portretu. Miał i on ładne oczy, był zawsze radośnie uśmiechnięty w obcowaniu z ludźmi i głowę miał — jak rzadko — owianą wiewcami nowymi myślami”. Umiął także najwybitniejsze umysły zjednywać dla wypracowanych przez siebie społecznych planów kulturalnych i wiązać współpracę z ludźmi na prowincji, a zwłaszcza z nauczycielstwem. Robiło się to za pośrednictwem wakacyjnych kursów, zwanych powszechnymi uniwersytetami regionalnymi” (...).

W świetle tych faktów ciekawe może być spojrzenie na „Przepióreczkę” poprzez „Puszcze Jodłową”. Otwórzmy poemat na pierwszeń stronie: „W uszach moich trwa szum twój,

wiorsty — to polna droga z Ciekot do Wilkowa, trzy wiorsty — to gościniec z Krajna do Górna, trzy mile — to linia prosta z Kiele do świętej Katarzyny. Każda trudna, duża i ciężka praca jakiegokolwiek natury, literacka, biblioteczna czy inna, obrazowo i porównawczo mierzy się w mej wyobraźni, w mej sile mięśniowej i nerwowej na wysokość góry Radostowej. Jestem oto u jej podnóża, w Leszczynach, w Machocicach, w Bęczkowie, — jestem na pierwszym garbie, na drugim, na trzecim. — Jestem niedaleko wierzchołka, — jestem na szczycie! Widzę już mój kres i mój cel: rodzinny dom!”

Te przydługie cytaty przytoczyłem świadomie, nie chciałem bowiem niektórych słów (zwłaszcza wyodrębnionych przez mnie innym drukiem) wyrwać z ich naturalnego otoczenia. Proszę te nazwy wsi i gór zapamiętać, za chwilę się przydadzą. Weźmy teraz spis postaci występujących w

komedii „Uciekła mi przepióreczka”. Oto niektóre: Ciekocki, Radostowiec, Wilkosz, Bęczkowski, Bukański. Widać więc, iż Żeromski bardzo świadomie dobierał nazwiska swoim bohaterom. Utworzone one zostały od nazw wsi i gór leżących w najbliższym kręgu rodzinnych Ciekot. Inne postacie także mają podobne odnośniki. Profesor Zabrzeziński wziął swoje miłano od niedalekiej wsi Brzezinki, zaś postać tytułowa — Przełęcki — od nazwy wsi Łęki, leżącej u podnóża Łysicy. Rodowód nazwiska Smugonia odnajdujemy w Puszczy Jodłowej również. Smug — to często w Kieleckiem spotykane słowo. Wspomina Żeromski swoją młodość: „Pisałem swe marne wiersze w lasach i wertepach, w ciągu długich letnich deszczów pod cieniem olchy obwisłej w nadnidziańskim smugu” (podkr. moje TK)(...).

A teraz sprawa porębianego zamku. Znajduje się w obiegu przekonanie, że „Przepióreczkę” pisał Żeromski w Janowcu nad Wisłą, utożsamiając więc Porębiany z szesnastowieczną budowlą Firlejów w Janowcu. Przeczytajmyż tedy uważnie, co się mówi o zamku w samej sztuce. Profesor Wilkosz: „Porębiany — toż to jest dworzyszce, leśny zamek tego wisusa i — żal się Boże! — biskupa, Pawła z Frzemankowa”. Profesor Zabrzeziński: „Porębiany — przepyszna, olbrzymia kazimierzowska skorupa”. W więc zamek porębiani pochodzi z wieku czternastego. O usytuowaniu Porębian zadecyduje jednak odpowiedź na pytanie, kto to był ów biskup Paweł z Frzemankowa? Oddajmy przeto głos Wilkoszowi: „Ależ co za postać, co za figura, co za przepyszny pan owych czasów! Zjeżdża do tego uroczyska w olbrzymiej puszczy, otoczony szczawczami, strzelcami, silaczami leśnymi,

(Dokończenie na str. 12)



# JEDEN Z GRZECHÓW PIĘKNYCH

ANNA KAMIENSKA

Kazimierzowi Andrzejowi Jaworskiemu w upomniku na jubileusz „Kamień”

JEDNYM z grzechów pięknych jest przekład poetycki. Rzecz w istocie, w całej swojej złożoności — niemożliwa. Dziwię się teoretykom, autorom wielu prac i artykułów na temat przekładu poetyckiego, którzy zabierają się do sprawy jako do czegoś niewątpliwego, oczywistego. Zaczynają często od wglądu w historię. Już starożytni Rzymianie... Tak, oczywiście. A jednak przekład poetycki jest rzeczą w zasadzie niemożliwą. Gdybyż chodziło tylko o odzworowanie tekstu poezji w innym języku, w innym systemie leksykalnym! Już to samo byłoby dostatecznie trudne i złożone. Ale przecież utwór poetycki jest tylko zapisem językowym. Jest częścią kultury, charakteru narodu, jego tradycji, mentalności, epoki, w której powstał.

Przekładać więc trzeba nie tylko język na język, ale kulturę na kulturę, epokę na epokę, naród na naród, człowieka na człowieka. Słowniki języków obcych są przecież w istocie również tylko propozycjami. Język w język nie wchodzi tak łatwo jak drewniana zabawka ludowa polegająca na zamknięciu coraz mniejszych lalek o tej samej formie. Pojęcia różnych języków kształtujące się w różnych warunkach, epokach, na różnym tle społecznym i psychologicznym, często tylko w grubym przybliżeniu są podobne. Niektóre języki odznaczają się bogactwem czasowników, inne — bogactwem epitetów i określeń, których subtelne różnice nie dadzą się wyłożyć w innym systemie językowym. Oto tylko niektóre bardziej oczywiste powody, dla których przekład poetycki jest rzeczą niemożliwą.

A jednak działa pokusa. I rzeczywiście ludzie ulegali jej od najdawniejszych czasów. Ulegali w sposób naiwny, bez uświadamiania sobie, że popełniają zła. Grzeszyli nie zdając sobie sprawy z istoty grzechu, pozostawali więc niewinni. Dopiero świadomość wszystkich trudności, świadomość złożonej natury czynności przekładu czyni z niego grzech, któremu z lubością i często ulegamy.

Istnieją chyba te dwie koncepcje, dwie postawy wobec przekładu poezji. Optymistyczna i pesymistyczna. Optymistyczna jest jak zawsze naiwnością i nieświadomością, mimo że praktycznie nie do niej należy zwycięstwo. Bo pesymiści wyznający, jak ja — przekonanie o niemożliwości przekładu poezji — przekładają ją jednak, idą na kompromis ze swoją teorią, w praktyce — chociaż z poczuciem grzechu i nonsensu — ale jednak zajmują się przekładem, czerpią zeń wiele nauk dla swego literackiego warsztatu, wiele osobistych, twórczych radości z obcowania z wielkimi poetami, z przeżywania językowych oporów. Bo na tym głównie zasadza się trud przekładu — borykanie się z własnym językiem, ćwiczenie go i naganianie do odmiennych treści i znaczeń, szukanie odpowiednich warstw i słów języka w jego historii, w jego przeobrażach społeczno-rodzajowych. Ach, jak kochamy ten trud w języku! Mimo że wyliczka z nas siódme poty, mimo że nieraz tłumacz poezji czuje się upokorzony, gdy nagle przypada mu na myśl, że od godziny siedząc nad kilkoma słowami szlaku rymu jak kiepski wierszopis lub rozwiązuje gazetową krzyżówkę wpisana w trudny tekst poetycki.

Przekładanie poezji to poznanie własnego języka, poznanie jego możliwości, jego granic. Przekładanie poezji to odbywanie się w umyśle walka, borykanie się dwóch języków jak dwóch leśnych niedźwiedzi. Oczywiście nie musimy dodawać, że myślę o wypadku, gdy poeta z prawdziwego zdarzenia przekłada poezję z prawdziwego zdarzenia. Aby istniała walka i dramat walki — siły muszą być, przynajmniej o potencję, wyrównane.

Z tego co się rzekło, wynikałoby, że najtrudniejsze, najbardziej ryzykowne jest tłumaczenie zupełnie różnych poezji, utworów, języków, kultur, epok. Tak np. tłumacząc poetyckie teksty lu-

dowe powstałe w innych systemach kulturowo-historycznych — mam szczególnie dojmujące poczucie grzechu, o którym wspominałam na początku. A jednak — o sprzeczności sztuki! — właśnie różnice pociągają nas najbardziej, właśnie z różnic czerpiemy najwięcej nauki i uciechy. Właśnie różnice języków, systemów kultury, stopni rozwoju języka — pozwalają tłumaczowi poezji wykreślić najciekawsze poezje, blasku, niespodzianki. Starożytne ludowe teksty dzikich ludów tłumaczone przez Zbigniewa Stolarza zabłysły silnie w naszym współczesnym języku niż np. najczystsze przekłady Jesienina, poety bliskiego nam i w czasie, i w charakterze, mającego swoje literackie u nas odpowiedniki.

Sądzę, że przykład ten i zestawienie są dość znamienne i dotyczą problemu tzw. wierności przekładu. Znamy są różne zarty i porównania snute na ten temat. Np. porównanie przekładu do żony pięknej, ale niewiernej, lub wierności, ale szpetnej. Lub znane powiedzenie Tuwima, że przekład powinien wskazywać tę samą godzinę, co oryginał. Wszystkie te powiedzonka zawierają ważną treść poetyckiego doświadczenia tłumacza: wierność przekładu nie oznacza i nie może oznaczać jego dosłowności. Dosłowność to pozorna wierność. Doświadczeni tłumacze wiedzą dobrze, że aby zbliżyć się do oryginału, trzeba często od niego odejść. Oznacza to w praktyce, że tłumacz nie może się sugerować zewnętrzną warstwą słowną, podobieństwem znaczeń, że musi poszukiwać w języku głębszych odpowiedników, szukać połączeń oddających ściślej myśl, obraz, styl oryginału. Powiedziałabym, że przekład nie musi być wierny, ale powinien być ścisły. Tak jak ścisły powinien być każdy utwór poetycki. Tuwim powiedziałby, rozwijając swoje porównanie, że przekład powinien być akuratywny, dokładny jak godzina na dwóch różnych zegarach. Jeden z nich może być starym pocztowym mechanizmem sprzed wieków, drugi może być nowoczesnym

zegarem elektrycznym czy elektronicznym. Jeden jest jednak czas, jeden żywioł ludzkiego życia, odczuwania, myślenia.

Przekład poetycki próbuje i usiłuje przekazać ostre progi różnych kultur i języków. Człowiek pragnie inności i odrębności, a jednocześnie pragnie wspólnoty i podobieństwa, szuka ich, tęskni do nich. Na tej sprzeczności właśnie polega równie sprzeczna i paradoksalna natura sztuki zwaną przekładem poetyckim.

Wszyscy zauważamy jej wielość. Można osiągnąć znajomość obcych języków, choćby tych najbardziej ważkich dla rozwoju światowej literatury. Ta znajomość jednak nawet najbardziej powściągliwa nie wyeliminuje potrzeby przekładu poetyckiego. Ci, którzy tłumaczą poezję, znają przecież dobrze język obcy oryginału, a jednak zabierają się do przekładu nie tylko dla udostępnienia jego odbioru innym.

Działają tutaj inne, znacznie ważniejsze potrzeby. Tłumacz utwór poetycki — obcuje z nim w sposób najbliższy, najgłębiej go poznajemy i odczytujemy, odkrywamy jego mechanizm, jego tajemnice, jego zakamarki, które powinny zostać otoczone mrokiem. Takie mroki posiada każde większe dzieło literackie. Dlatego właśnie tak nieznoszą się niektórzy słabi tłumacze, że wylamują swymi wytrychami cenne zamki utworu poetyckiego.

A następnie — w zmaganiu się z językiem, obcego i własnego — przyswajamy sobie i własnej kulturze walory innej uświadomości, innego systemu myślenia i odczuwania. Przyswajamy, asymilujemy tak jak organizm przyswaja pokarm, zamieniając go w tkanki własnego ciała, nerwy, komórki mózgowe, płuć krwi.

Więc ci szaleńcy, którzy porywają się na niewykonalne, dokonują dla kultury swego narodu pracy, której docenić nie potrafimy.

Nie uświadamiamy sobie tego, że odchynamy, póki starcza powietrza.

W okresie letnim w różnych miejscowościach wczasowych można było zetknąć się z występami zespołów estradowych. Jesień i zima dostarczają dalszych szans obserwacji jak wygląda produkcja rozrywkowa w tzw. terenie. Jedno wszakże można powiedzieć: ogólny obraz tej dziedziny działalności artystycznej jest nadal dość mizerny. Wszelkie dyskusje na temat organizacji i podniesienia poziomu programów rozrywkowych o charakterze estradowym, nie dają, niestety, oczekiwanych w praktyce rezultatów. W dalszym ciągu dominuje chałtura, nieudolność i... talenty finansowe różnych kierowników i impresariów, nabijających sobie kasy wskutek wygórowanej kulturalnie widowni na wsi, w małych osiedlach i miasteczkach.

## POGLĄDY I PRZEGLĄDY

# I co dalej, estrado...

JERZY GEMBICKI

Stało się już obecnie całkiem jasne, że upowszechnianie wartości muzycznych czy dramatycznych należy do stałych placówek filharmonicznych i teatralnych. Wszelaki natomiast głoś społeczny na widowiska typowe rozrywkiowe zaspokajają estrady. Asortyment konsumpcyjny tych instytucji jest przecież ciągle podejrzanej jakości i tego głodu społecznego nie zaspokaja w sposób właściwy. Czy tak musi być? Czy nie można temu zaradzić? I tak, i nie. To znaczy można, ale chyba nie od razu, a jeśli w ogóle można, to tylko wtedy, gdy nasze władze kulturalne zagadnienie działalności estradowej ujmą kompleksowo, reorganizując wszelkie ogniska składające się na pełny kształt tej instytucji, która pod mianem estrady zajmuje się widowiskami rozrywkowymi. I tu trzeba powiedzieć od razu: nie będzie żadnej zmiany na korzyść, nie będzie poprawy w repertuarze i w wykonaniu, jeśli nie nastąpi systematyczne szkolenie kadr zawodowo trudniących się pracą estradową. Akorzy grający w stałych zespołach teatrów miejskich to czynnik niestabilny i nie zawsze dobrze dobrany do środowiska widowni, jaka gromadzi się w różnych zakładach pracy czy PGR-ach, dysponujących funduszem na angażowanie takich wizyt artystycznych. Stałe placówki wojewódzkie zajmujące się szkoleniem, organizujące studia żywego słowa, czy studia pio-

senki, mogą dopiero w jakiś sposób zaradzić złu, organizować małe zespoły, czuwać nad programem i repertuarem. O typie tego rodzaju działalności jest raczej głucho. Na tym tle można tylko podkreślić zasługującą na uznanie inicjatywę zorganizowania w Olsztynie Festiwalu Amatorskich Zespołów Estradowych. Ten cały tydzień trwający turniej młodych zespołów z całej Polski, stał się dla działaczy ruchu estradowego niewątpliwym sprawdzianem złych i dobrych stron ogólnych tendencji, stylów i zainteresowań w dziedzinie programów rozrywkowych. Obserwatorzy mieli możliwość skonfrontować to co jest wtórne i przebrzmiałe z tym co natchnione jest świeżością i pomysłowością, zarówno jeśli idzie o

tekst, inscenizację jak i samo wykonawstwo. Nowe siły wykonawców bowiem, urozmaicone programy dostosowane do odbiorców i do samych warunków lokalnych, gdzie odbywa się występ, stworzyłyby dopiero możliwości, gwarantujące bardziej regularny i częstszy kontakt z widzami w mniejszych skupiskach ludnościowych. Wystarczy powiedzieć, że np. w r. 1962 osiemnaście przedsięwzięć estradowych spełniło swą misję artystyczną, dla 914 tys. widzów na wsi. A jest to przecież zaledwie 11% ogólnej liczby widzów (8.345 tys.), biorąc przy tym pod uwagę, że blisko połowa ludności Polski związana jest z rolnictwem. Tak więc wieś jest nadal upośledzona wskutek nikłej aktywności estrady.

EWA SZELBURG - ZAREMBINA

## 2 razy Lublin

OSTATECZNY

W środku czarnej milczącej nocy  
zgiełk światła,  
oslepiające głosy:  
lunaparku otwarte bramy.

Tłum —  
ten szalejący uciechą okrucieństwa  
i drugi —  
przerażeniem pijany.

Oba te tłumy  
w maskach.

U obu  
brak zwykłych ludzkich twarzy  
pod maskami.

Lunapark  
całą noc otwarty  
zabawa trwa  
aż do białego, bezsłonecznego

[dnia.

A wtedy:  
„Uwaga  
Zamykamy”.

... I już lunaparkową hecę  
wpuszczają w niebo tłumy  
[dymem

krematoryjne piec.

— — — — —

Nie będzie  
z martwych wstania.

Na parkiet  
wśród płomieni i kwiatków  
wchodzi  
Sąd Ostateczny  
bez oskarżonych i świadków.

## WSPOMNIENIE

Wspomnienie  
jest jak drzewo

lata są jak liście  
opadają z gałęzi  
i zostaje ich tyle

ile  
było wtedy —  
lecz nie myślę  
że odmłodzić się  
można wspomnieniami

to co się zestarzało w nas  
odmładza się — nami  
Było miasto nad rzeką  
— jest miasto i rzeka

Był człowiek  
— nie ma już tego człowieka

I tylko mgła nad Bystrycą  
niebystro przypomina  
w nowym pięknym odmiennym  
Lublinie

cień dawnego Lublina

Mgły  
cienie  
liście wiatrem miecione  
wspomnienie.

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —





# WSPOMNIENIA O STEFANIE ŻEROMSKIM

WNĘTRZE „CHATY” ŻEROMSKIEGO W 1906 R.

Drukowane na tym miejscu wspomnienia Piotra Łuki, Jana Witkiewicza, Józefa Skalskiego i Lucji Kostkowej zostały spisane przez Stefana Butryna, kustosa Muzeum Żeromskiego w Nałęczowie, z wypowiedzi ustnych. Zachowaliśmy styl tych wypowiedzi nie stosując adiacji redakcyjnej.

Żeromskiego poznałem osobiście w 1906 roku w czasie gdy inż. Jan Witkiewicz, młody wówczas architekt, zaangażował mnie do budowy ochronki w Nałęczowie.

Ochronkę, jak wiadomo, projektował Jan Witkiewicz, a finansowali Żeromscy. Słyszałem o nim już wcześniej i widziałem go, ale dopiero przy budowie ochronki poznałem bliżej.

Żeromski w tym czasie pisał powieści, a dla odpoczynku siadał zazwyczaj w pobliżu budowy lub doglądał pracy przy budowie. Rozmawiał z ludźmi, z nami murarzami, z majstrem Krajewskim. Cieszyła go wznoszona budowa.

W tym czasie organizował z Janem Witkiewiczem odczyty dla pragnących wiedzy. W roku 1906 powstało stowarzyszenie w Nałęczowie Towarzystwo Oświatowe „Światło”, wzięcie z jego inicjatywy. Pamiętam, gdy zaczęliśmy budowę ochronki — zamurowywano też erekcyjny, podpisali go wszyscy pragnący przy budowie z Żeromskim i Witkiewiczem.

Pamiętam, że włożono tam gazetę z tamtych dni. Po skończeniu budowy ochronki spotkaliśmy się znowu z Żeromskim w roku 1918 u Jana Witkiewicza w Kazimierzu. Przyjechałem z nim do Nałęczowa na plac koło „chaty”, gdzie pokazał mi miejsce pod budowę mauzoleum, w lasu na dole. Później — po rozpoczęciu budowy otrzymałem od niego listy z zapytaniem, jak postępuje budowa. Budowę mauzoleum prowadził również Jan Witkiewicz, który dał projekt grobowca dla Żeromskich.

W roku 1921 budowę ukończyliśmy. A w 1922 r. w marcu przyjeżdża Żeromski w celu sprowadzenia zwłok Adasia z cmentarza do mauzoleum. Pamiętam tę smutną uroczystość. Było bardzo dużo ludzi z okolicznych wsi i z Nałęczowa. Była nawet rodzina z Kieleckiego.

Żeromski był bardzo smutny i płakał ogromnie po Adasiu. Był Jan Witkiewicz, Oktawia Żeromska. Wszyscy byli przejęci bólem odżytym na nowo.

Żeromski po zakończeniu ceremonii dziękował mi całując mnie jak kogoś bliskiego.

Pamiętam — wszyscy podziwiali projekt grobowca.

Jeszcze dziś pamiętam troskę Żeromskiego o ludzi prostych, dbał też bardzo o dzieci w ochronie, sprowadzał dla nich z Czerwonego Krzyża żywność w tym trudnym okresie powojennym.

Dla mnie wyprosił w Warszawie ubranie, które mi wysłał do Nałęczowa.

Wspomnienie Piotra Łuki z Wąwolnicy, zanotowane w roku 1961.

S. Żeromski był, jak wiadomo powszechnie, nauczycielem panienek pana Górskiego, dziedzica nałęczowskiego, o którym można powiedzieć bez przesady, że był jednym z najuczciwszych ludzi, z jakimi mi się przydarzyło spotkać. Był w życiu dobry dla biednych. Bywało, że któryś z majstrów w Nałęczowie — bo wtedy mało gdzie można było zarobić — był bez roboty, to on mówił: przyjdźcie do mnie — coś porobicie i jakoś przeżyjecie, aby do wiosny.

Albo wracając do Żeromskiego: będąc nauczycielem we dworze, potrafił chodzić po domach — uczyć dzieci, narażając się na niebezpieczeństwo. Uczył bezpłatnie dzieci fernali we dworze u Górskiego. Niedawno np. zmarła p. Goliżkowska z Tarków, którą Żeromski nauczył czytać i pisać. Nigdy nie mogła się nadziwić Żeromskiemu, że ją nauczył czytać i pisać, a jej brata Michaśka to wysłał do Warszawy do szkoły.

Żeromskiego, ludzie pamiętają, zrobił dużo dobrego. Chociaż byli i tacy, którzy byli wprost przerażeni jego aktywnością i wpływem na biedotę.

Strasznie ciekawe to było, jak Żeromski z Prusem spotykali się i jeden drugiego starał się przekonać o swojej racji.

U Żeromskiego bywaliśmy z towarzyszami razem, często czytaliśmy nam własne książki, prasę, komentowali wydarzenia w Rosji i w Europie zachodniej. Pamiętam, jak mówił że przyjdzie czas, iż państwa wezmą się za rby, a my wówczas skorzystamy z tego i niepodległość zdobędziemy.

Po wojnie światowej, kiedy się spotkaliśmy, powiedział: — mamy nareszcie wolność, ale to nie to, co powinno być. Musimy dalej walczyć o prawa dla wszystkich. Walczcie, zbierajcie i organizujcie się w związki, w organizacje, bo tylko wielką masą można coś wywalczyć. Jeśli nie będzie walki, to opadną rządy wrogowie ludu i będzie ten sam ucisk.

Obok Żeromskiego działaczem na tym terenie był Jan Witkiewicz. Kolportował tajną prasę. Żeromski wysyłał agentów za granicę, a potem oni przynosili informacje i wiadomości, co i jak robić, żeby strajki we dworach się udawały. Organizowano pochody i wiece. Jan Witkiewicz w tym pomagał Żeromskiemu.

Jan Witkiewicz był budowniczym — inżynierem w Nałęczowie. Prowadził budowę bardzo solidnie. On też zbudował mauzoleum S. Żeromskiego w Nałęczowie. Żeromski mówił po zbudowaniu mauzoleum, że chciałby tu w Nałęczowie być pochowany.

Wspomnienie robotnika, Józefa Skalskiego z Nałęczowa, spisane w 1962 r.

Wspominając dawne czasy pragnę powiedzieć słów parę o sprawach, które rozgrywały się w Nałęczowie. Bo wtedy to mówiono, że tutaj była kuźnia idei, tutaj w tych małych chałupach na Bochothnicy były spotkania przywódców i skład gazet i książek niecenzurowanych.

Stefana Żeromskiego poznałem w roku 1901, kiedy akurat przyjechałem do Warszawy w celu nawiązania kontaktu z działaczami rewolucyjnymi na tutejszym terenie. Od tego czasu datuje się nasza przyjaźń i współpraca w dziedzinie politycznej i społecznej.

Potem, jak wiadomo, zaprosił mnie do budowy własnego domu w Nałęczowie tzw. „chaty”. Początkowo miał zamiar zbudować sobie dom w Kazimierzu. Dr Lasocki w tym czasie sprzedawał plac, wobec czego Żeromski zmienił zamiar i kupił parcelę obok gruntów „Oktawii”.

Po wybudowaniu Żeromskiemu „chaty” otrzymałem od niego propozycję budowy ochrony dla dzieci. Ochrona funkcjonowała w Nałęczowie już od roku 1905, ale nie posiadała własnego gmachu. W 1906 roku siedziałem w więzieniu na Pawlaku, gdy przyszedł do mnie Żeromski, żeby zaprojektować mu budynek na wzorową ochronę-szkółę. Po wyjściu z więzienia rozpocząłem budowę. Po zbudowaniu mieściła się tam ochrona, tajna szkoła, punkt odczytowy „Światła”, biblioteka. Chęć przy okazji wspomnieć, że Stefan Żeromski dał na budowę ochrony ponad 6000 rubli. W tym czasie, pamiętam, pod wpływem Żeromskiego prowadziłem prace społeczne i polityczne w Nałęczowie. Były to różne odczyty, wiece, strajki itp. Wszystko to kryło w sobie niebezpieczeństwo. Ja zostałem aresztowany, a po zwolnieniu nie wolno mi się było nigdzie ruszać poza Nałęczów. Był wówczas w Wąwolnicy żandarm, który miał obowiązek kontrolować mnie od czasu do czasu. Za każdą wizytę otrzymywał od podopiecznego rubla. Tak mu się to spodobało, że odwiedzał mnie czy mu kazano, czy nie. Nazywał się Łuszczewski, imienia już nie pamiętam.

Jak już wspominałem, ochrona była zbudowana w większości za pieniądze Żeromskiego, w związku z tym był on jej prawnym właścicielem.

Żeromski w chwilach trudności finansowych wspierał ochronkę, w roku 1910 sprowadził malarza Kazimierza Młodzianowskiego, każąc mu namalować fresk w ochronie, przedstawiający bieg rzeki i dzieci na plażach, na wzór malowideł w Panteonie w Paryżu.

W parę lat potem, kiedy wyjechał do Paryża, a w zarządzie towarzystwa „Światło” znaleźli się ludzie niechętnie usposobieni do Żeromskiego, postanowili usunąć nas, grono osób, które były wyznaczone do opieki nad budynkiem ochronki i ochroną jako instytucją. Ludzie ci chcieli wprowadzać różne zmiany bez zgody Żeromskiego. Na jednym z zebranych zarządu „Światła” wystąpiliśmy z zarzutami, że zarząd „Światła” wbrew woli Żeromskiego zatrudnia nieodpowiednich ludzi, że zamiast odczytów wprowadza się tańce do budynku ochrony, że zarząd wprowadza bez zgody Żeromskiego zmiany w wyglądzie budynku.

W dniu zdaje się którymś marca, bodajże 8 r. 1913 przyjechali przedstawiciele Zarządu Głównego „Światła” z Lublina. Przyjechali na skutek interwencji listownej Żeromskiego, który zwrócił się do nich z prośbą o opiekę nad działalnością ochrony. Delegatami byli: Zagrobski, Biernacki, Popławska, którzy mieli sprawdzić zarzuty. Zabierając głos, Zagrobski zaznaczył, że ochrona jest własnością Żeromskiego, a nie własnością zarządu „Światła”, więc nie może być mowy o żadnych zmianach, które by się wprowadzało bez zgody właściciela. Cytując list Żeromskiego jeden z mówców, zdaje się Zagrobski, powiedział, że „Światło” jest lokatorem bezpłatnym i może korzystać nadal z budynku, jeżeli nie zejdzie z drogi oświaty i postępu. Ze opieka nad ochroną ma być powierzona osobom, którym Żeromski ufa, a więc Felicji Sulkowskiej, Henryce Witkiewiczowej, Janowi Witkiewiczowi i Helenie Dulebinie. Przedstawiciel Zarządu Głównego zaproponował powołanie komitetu, który mógłby być odpowiedzialny za losy ochrony w myśl życzeń Żeromskiego. W odpowiedzi na te projekty członek nałęczowskiego zarządu „Światła”, adwokat Lypacewicz, sprzeciwił się uznawaniu praw Żeromskiego do ochrony, bo jeśli już instytucja gospodarzy budynkiem i prowadzi w niej zajęcia, to nie wolno, żeby ktoś prywatnie ustanawiał jej opiekunów. Na tym tle powstał zatarg i w trakcie głosowania ostatecznie doszło do zerwania zebrania. Fakt faktem, z jednej strony Zarząd Główny i my, przyjaciele Żeromskiego, nie ustępowaliśmy i broniliśmy praw Żeromskiego do ochrony, gdyż to umożliwiało zastawianie się osobą Żeromskiego wobec władz rosyjskich.

Ostatecznie załatwiliśmy sprawę w ten sposób, że do komitetu opiekującego się ochroną wytypowano 3 osoby ze strony Żeromskiego, 3 z nałęczowskiego Koła i jedną z Zarządu Głównego.

Wspomnienie Jana Witkiewicza, spisane w 1957 r.

Wtedy mój brat, Piotr Wójcik z Bochothnicy, z Pawlakiem Franciszkiem chodzili pod Kraków po różne tajne przesyłki. Stefan Żeromski dawał im listy, z którymi szli do Galicji, tam ktoś zawsze na nich czekał i wręczał im te różne materiały.

Pewnego razu przyjechali żandarmi na rewizję i całe szczęście, że najpierw poszli do Pawlaka, a my w tym czasie schwyliśmy paczki z książkami i zakopaliśmy w piasku w ogrodzie księdza i w ten sposób uniknęliśmy aresztowania.

Razem z nami pracował Grześ Wójcik, o którym Żeromski pisze w „Róży” i który był przywódcą młodych na tutejszym terenie.

Żeromski przychodził na Bochothnicę bardzo często. Przyjaźnie rozmawiał ze wszystkimi. Bywał tu też Duleba, brat proletariacki, Sempolowska przyjeżdżała z Warszawy, Rutkowski.

Chodzili też do willi Tolin, gdzie mieszkała Faustyna Morzycka. Tam wystawiono „Harde dusze”, ale w czasie przedstawienia trzeba było stać na straży, żeby policja nie naszła.

Pamiętam zadowolenie Żeromskiego z tego, że ludzie tak chcą pracować narażając się dla walki o wolność.

Uważaliśmy go za opiekuna ludu. Kochaliśmy go. Mówił że gdy powstanie nowa Polska, to będzie nam dobrze i radośnie wszystkim na świecie. A kiedy nie dowierzaliśmy, bo przecież jest tyle wojska i armat — powiedział — nie martwiecie się. Będzie i wojsko nasze, a te armaty też będą nasze.

Jak przyszedł pierwszy maj, to brat, Piotr Wójcik, z Franciszkiem Pawlakiem przygotowali sztafendar, który wysłał mu bardzo ładnie jego żona Zofia z Barylskich.

Ten sztafendar zawiesili na lipie w Alei Lipowej. Potem żandarmi jeszcze zaplitali bratu, że zdjął go po jakimś czasie. Śmiechu było z tego na cały Nałęczów.

Później brat mój musiał uciekać do Ameryki. Miał jakieś listy od Żeromskiego i różne inne.

Kiedy urządzano odczyty dla ludu, to wszyscy szli, bo chcieli posłuchać dobrych mówców. Przemawiał Żerom-

ski, Witkiewicz, Duleba, Morzycka. A jak Sempolowska przyjechała, to chodziliśmy wszyscy, żeby posłuchać.

Potem Żeromski wyjechał. Witkiewicza aresztowano. Szliśmy za powozem i płakaliśmy jak dzieci.

Żeromskiego nie lubili ludzie bogaci, willarze, ziemianie.

Nie wolno było się przyznać, że się należy do „Światła”, bo wtedy wyrzucali z pracy.

Razem z Żeromskim czasem zachodził tu i Prus, który znał ojca, gdyż ojciec pracował u Radziwiłłowicza w Strzelcach.

Jednego razu przyszli z Żeromskim, a my śpiewaliśmy nową kolędę. Prus spytał, co to za kolęda, taka wesoła. A to była ułożona przez nas i takie miała słowa:

Idzie wiarus stary do ludzi w koledzie  
Witac nowa latka i śpiewać nam będzie,  
Stuchajcie ludkowie,  
Co wam wiarus powie.  
Ej koleda, koleda!

Dzisiaj się nam rodzi niebieska Dziecina,  
Zyska wolność Litwa, Polska, Ukraina,  
Przybądź Jezu mały  
Wola naród cały.  
Ej koleda, koleda!

Ojcie, idź do pracy, pilnuj domu, matko,  
Dziecie idź do szkoły, przyjdzie nowe latko,

Wolności, swobody,  
Jedności i zgody.  
Ej koleda, koleda!

Świeci słońce, świeci na niebie wysoko,  
Skarży się śnieżek biały na polu szeroko.  
Bądź jak smreczek biały,  
Słońcem naród cały.  
Ej koleda, koleda!

Wtenczas to dopiero przyjdzie wiarus stary  
i wiary.

Wtenczas krzyknem razem  
Gardłem i żelazem.  
Hej koleda, koleda!

Wspomnienie Lucji Kostkowej spisane w lutym 1963 r.



wiek zdrowy. Dalej typ antropologiczny przekazany za pośrednictwem matki i związane z nim dyspozycje temperamentu. Rodzina Katerlów wywodziła się podobno aż z dalekiej Italii. W typie fizycznym rysów słowiańskich miał Żeromski istotnie raczej niewiele. „Ja i pan — mamy twarz włoskie, a nawet, powiem panu w sekrecie, nie włoskie, ale cygańskie” — zakomunikuje Żeromskiemu to spostrzeżenie panna Eleonora, jedna z niepoliczonych bohaterów *Dzienników*. Czy coś z owego przysłowiowego południowego temperamentu odziedziczył Żeromski po swych włoskich przodkach, tego z całą pewnością stwierdzić nie można, wszakże niestety chęć pobudliwości i gwałtowność temperamentu ujawniły się dość wcześnie, a *Dzienniki* dzięki nieskrepowemu ekshibicjonizmowi autora ujawniają głębokie zakłócenia i powikłania życia uczuciowego. Trzeba to powiedzieć otwarcie, że lektura owego *Journal intime* nie zawsze jest czynnością uszlachetniającą i budującą. Oktawia Żeromska wspomina w swych rozmowach z Borowim, że niektóre karty *Dzienników* czytała z prawdziwym przerażeniem, przykrością i bólem. Żeromski dał je do przeczytania swej przyszłej żonie powodowany potrzebą absolutnej szczerości i uczciwości, nie chciał zapewne niczego przed nią zatajać. Lektura ta podzielała na młodą kobietę wstrząsającą i oddalała termin ślubu o cały rok. Z drugiej jednakże strony te same *Dzienniki* ujawniają wyraźnie rosnące zaniepokojenie ich autora i coraz jaśniejszą świadomość, że w czynnościach jego życia wewnętrznego i w jego postępowaniu dzieje się coś niewłaściwego, coś zasadniczo sprzecznego z samowiedzą moralną. Należy to podnieść z naciskiem: autokrytycyzm Żeromskiego przynosi mu prawdziwy zaszczyt. Jest wprost zdumiewające, jak ten dwudziestoletni zaledwie człowiek potrafi zdobyć się na dystans wobec samego siebie i swych postępów, jak zna siebie i nie oszczędza siebie, jak widzi przeraźliwie jasno własną bezsilność i daje zdumiewającą autodefinicję: „Na cóż się przyda dowodzić, że mężczyzna powinien itd.”, jeśli jesteś moralnym mieżańcem, preparatem nerwowym, kierowanym przez temperament [...] jedynie, skłonny do halucynacji, mieszanina zwierzęcia i poety, jeśli rozum twój — to natchnienie, cnota — to sentymentalność, jeśli kierownikiem, reżyserem twojego życia jest — wyobraźnia jedynie...”

I jeszcze jeden element biograficzny o doniosłym znaczeniu. Wincenty Żeromski nie posiadał już własnego majątku, dzierżawił małą i nieintraną posiadłość, wchodzącą w skład majątku rosyjskiej rodziny Uszakowych. W domu, gdzie było czworo dzieci i nieuleczalnie chora kobieta, nie mogło się przelewać. Żeromski miał piętnaście lat, gdy stracił matkę, dziewczętności, gdy umarł ojciec. Będąc jeszcze uczniem szkoły średniej znalazł się na kieleckim bruku bez żadnych środków do życia. Ten stan ustawicznej niepewności jutra przeciągał się na lata. Żeromski będzie miał już czterdzieści lat, kiedy osiągnie to, co ludzie najzupełniej mierni i przeciętni osiągnąć zazwyczaj o wiele wcześniej, względna stabilizacja i warunki egzystencji odpowiadające przynajmniej w przybliżeniu jego pozycji.

Te realia biografii sprzegły się z konstytucją psychiczną, którą Stefan Baley w oparciu o typologię głęsnego w latach trzydziestych psychiatry i neurologa niemieckiego, prof. uniwersytetu w Marburgu, Ernesta Kretschmera określił jako schizotypną z wyraźną przynależnością do typów cyklicznych. Szczegółową charakterystykę podstawowych typów psychicznych dał Kretschmer w zasadniczej swej książce *Körperbau und Charakter*. Charaktery schizotypiczne ujawniają się więc w takich konstantach, jak nerwowość, nadwrażliwość, afektywność, autyzm. Są to natury nietowarzyskie lub zewnętrznie towarzyskie i społeczne w wąskim zakresie ludzi pokrewnych duchowo. Nerwowość i wrażliwość, lek przed brutalnością świata skazuje na życie w własnowolnym odosobnieniu, wśród przyrody, książek, w świecie własnych idei. Afektywność schizotypiczna nie zna uczuć pośrednich, jest gwałtowna, waha się między ekstremami zaprzeczenia i potwierdzenia, jest ekstatyczna i patetyczna. Introwersja, autyzm, szczelne zamknięcie w sobie i swoisty egotyzm nie wykluczają przecież dążenia do poświęceń, do uszczęśliwienia ludzkości, do altruistycznego samoofiadowania w wielkim stylu. Ogólnie mówiąc, są to jednostki twórcze, wrażliwe, bogate psychicznie, których astenia jest raczej fizyczna niż psychiczna, ponieważ nie przysto-

sowane do twardych wymogów życia zdobywają się one przecież bardzo często na ciężką i wyczerpującą pracę umysłową.

Psychiczna cyklotymia jest jakby przeciwieństwem konstytucji schizotypicznej. Odnacza się przede wszystkim cykliczną przemiennością nastrojów — euforii i depresji. Między tymi dwoma biegunami przebiega życie wewnętrzne osobników cyklotymicznych. Ale na ogół są to natury raczej proste, nieskomplikowane, mimo okresów maniackalnej depresji zasadniczo optymistyczne, społeczne, towarzyskie, o silnym zmyśle realizmu i poczuciu humoru.

Przypatrując się z kolei Żeromskiemu jedno przed wszystkim przyjdzie stwierdzić od pierwszego spojrzenia. Oto mamy tu do czynienia z osobowością z najgłębszych, organicznych skłonności wybitnie samotniczą. *Dzienniki* potwierdzają to niemal na każdej stronie. Kilkunastoletni chłopiec potrafił całymi dniami błąkać się samotnie po bezdrożach i wterpach swoich domowych gór obywatel jest doskonały bez towarzysztwa kolegów. Samotność, tak zdawałoby się nie do zniesienia i przeciwna samej naturze i nastrojom młodości która jest towarzyska i ludziom rada, była na przykład potocznemu mniemaniu czymś pożądanym, bliskim i swoim. Wasiłowski podkreślał swoistą „dzikość” Żeromskiego, który zaproszony pewnego razu do knajpki Czerskiego na rogu Nowego Świata i Ordynackiej jako interesujący młody człowiek i świetnie zapowiadający się pisarz, sprawił zebranym zawód na całej linii, ponieważ przez cały wieczór nie odezwał się słowem. Obserwację tę powtarzają

temu nieprzystosowaniu do życia w świecie i wśród ludzi towarzyszyła niesłychana wrażliwość i uczuciowość. W *Dziennikach* jest pełno miejsc, które mówią, jak głęboko Żeromski przeżywał każdą przeczytaną książkę, jak wzruszała go muzyka, jak przejmował się widowiskiem teatralnym, gdy siedzący obok koledy przyjmowali najdramatyczniejsze momenty hulaśliwą wesołością. Wzruszał się do głębi w czasie pisania niektórych scen swoich utworów. Ale nie były to tylko wzruszenia egotydy i pięknoducha. Z natury miękki, dobry, uczynny i ofiarny ogarniał tą samą wrażliwością ludzkie cierpienie i biedę. Jednocześnie zaś ta sama, wrodzona, konstytucjonalna nadwrażliwość psychiczna ujawniała się niekiedy w formach negatywnych, w nieufności, podejrzliwości, w krzywdzącej bezwzględności osądów, w niepokojącym rozregulowaniu i puszczaniu na samopas życia popędowego w latach trudnej i zawilej młodości. Mamy zatem wystarżające podstawy, ażeby przyjąć, że psychicznie był Żeromski osobowością wybitnie zdezyntegrowaną. Pojęcie dezintegracji definiuje w niedawno wydanej książce *O dezintegracji pozytywnej* prof. Kazimierz Dąbrowski. Nawiasem mówiąc jest to książka dla humanisty wręcz pasjonująca i to nie tylko dlatego, że tak często w eskplikacji swych problemów powołuje się ona na wielkie osobistości ze świata sztuki i nauki, ale przede wszystkim dlatego, że uświadamia wyjątkowo przekonująco, jak w istocie głównie i pierwotnie przyczyny ludzkich poczyną i osiągnięć tkwią w skomplikowanych splottach wewnętrznych, osobistych uwarunkowań,

nich w imię wartości ponadosobistych; w dynamizmach uczuciowych silna zmysłowość i pobudliwość znajdowała się w permanentnym konflikcie z osobowościowym ideałem doskonałości i czystości; obok stanów euforycznego podniecenia pojawiały się okresy całkowitego załamania i zwątpienia o wszystkim.

Jaki to wszystko miało wpływ na twórczość? Związków między konstytucją psychofizyczną, a twórczością artystyczną czy naukową nikt już dzisiaj kwestionować nie może, są to sprawy bezsporne. Kretschmer w oparciu o bogaty i starannie dobrany materiał przykładowy wiązał określone skłonności artystyczne z odpowiednimi typami konstytucjonalnymi. Cyklotymicy to według niego z natury i organicznego popędu realności, prozaicy o zdolnościach epickich i humorystycznych, u których zdolność przystosowania do życia i wrodzony optymizm wykluczają w zasadzie talent tragiczny. Schizotypicy wręcz przeciwnie, to romantycy i patetycy, których uzdolnienia skłaniają się wybitnie ku lirycy, ku poezji i ku twórczości tragicznej, mistrzowie formy, klasycyści i stylści, rozmówcy w piękny dźwięku wiersza, w czystości i muzyczności rytmu.

Należałoby przyjąć, że historycy literatury nabyli upraszczając niekiedy rzeczywistość literacką, jeśli doszukują się zasadniczych determinizmów czyjeś twórczości w okolicznościach zewnętrznych, w tendencjach artystycznych epoki, w tzw. duchu czasu. Determinizmy tego rodzaju określają najczęściej pisarzy ograniczonego talentu, których twórczość świeci cudzym, odbitym blaskiem. Rzekomą prawidłowość procesów historycznoliterackich najłatwiej można ilustrować na przykładzie twórców drugiego rzędu i nie w tym dziale; indywidualności wybitne wymykają się niemal z reguły jakimkolwiek normatywizującym uświadomieniom. Żeromski był nie dlatego lirycznym i patetycznym, że liryczna i patetyczna była Młoda Polska i że to było modne, lecz przede wszystkim dlatego, że był takim musiał z racji swych osobniczych predyspozycji. Liryzm, subiektywizm, spowiedniczy charakter jego utworów były wyrazem autyzmu, egotyzmu, introwersji psychicznej. Żeromski pisał zawsze o sobie, nie było w nim nic prawie z dyspozycji i uzdolnień rzeczywistych i prawdziwie epickich owej umiejętności wczuwania się i wcielania w cudzą egzystencję, ustawicznego mimetyzmu. Od Judydy do Przelęckiego wciąż ten sam typ bohatera, altruistyczny samotnik, *alter ego*, sobowtór, *porte parole* swego twórcy. Jego patetyczność wynikała z organicznego niejako uwrażliwienia na zjawisko wzniosłości. Pesymizm był produktem osobniczej nieufności wobec świata, indywidualnego, subiektywnego przeświadczenia, że życie z samej swej istoty jest tragiczne i że obszary dobra są nieporównywalnie znikome wobec zakresu zła.

Prof. Dąbrowski stwierdza w swojej książce, że choroba długo trwająca wymaga kompensacyjnie bogactwo i żywość wyobraźni, wrażliwość na bodźce świata zewnętrznego, sprzyja koncentracji wewnętrznej, wzmacnia tendencje analityczne. Z całą pewnością chorobie należałoby przypisać w dużym stopniu tak znamienne dla Żeromskiego perseweracje, obsesjonalną powrotność pewnych motywów, obrazów, sytuacji — śmierci, fizycznego cierpienia, ów swoisty somatyzm tego pisarza. Z drugiej zaś strony poczucie mniejszej wartości somatycznej szukało sobie rekompensaty w obrazach siły, zdrowia, tężyzny, witalnego rozmachu. Charakterystyczne np. że *Popioły* pisane były w jednym z najbardziej zdrowotnie niepomyślnych okresów życia. Rafał Olbromski jest swoistym wyrównaniem kompleksu za pośrednictwem sztuki.

Można założyć prawie z całą pewnością, że nadwrażliwość nerwowej zawiązuje dzieło Żeromskiego szereg najbardziej cennych swoich wartości. Pobudliwość sensuślna, uczulenie na bodźce zewnętrzne dawały olbrzymi i wszechstronny materiał przerobczy, sprzyjały nieustannemu doskonaleniu poczucia koloru, kształtu, tonu, zmienności zjawisk. Urzekająca sugestywność obrazów przyrody, zmysłowość scen erotycznych, specjalna predylekcja i finezja artystyczna w odtwarzaniu fizycznego uroku i wdzięku kobiet, miały swe źródło niewątpliwie w organicznych dyspozycjach osobowości.

Nadwrażliwość nerwowej zawiązuje też dzieło Żeromskiego swoją tak znamieną monotematycznością. Każda powieść jest w istocie na ten sam temat, niech nas nie zwodzi zewnętrzna

## Osobowość Żeromskiego

wszyscy niemal pamiętnikarze, podkreślając to zastanawiające zjawisko, że człowiek, który tak wspaniale umiał pisać, tak zupełnie nie potrafił rozmawiać. Później, gdy Żeromski zdobył rozgłos i sławę, wyrósł w nim jakby ktoś drugi, oficjalny i reprezentacyjny, ale w gruncie rzeczy nieautentyczny. Skłonność do psychicznej rezerwy musiała się z całą pewnością pogłębić pod wpływem przypomnianych tu poprzednio niesłychanie trudnych warunków i okoliczności życia. Wczesne sieroctwo, skrajne ubóstwo, upokorzenia, jakich ten zdeklasowany szlachcic doświadczał w ciągu swojej gubernerskiej tułaczki, choroby, udręczające na całej niemal przestrzeni życia, wszystko to musiało wytworzyć całe pokłady i nawarstwienia urazów, nieufności, swoisty kompleks zagrożenia. Świat wydawał się obcy, wrogi, najeżony przeciwieństwami i nie zasługujący na zaufanie. „Nie umiem cieszyć się życiem, nie umiem być wesołym” — zwierzał się w którymś z listów. „Zdaje mi się — pisał do żony z Raperswili — że jak niegdyś jestem jak liść, że mię przez nikogo nie odczuwane cierpienia niosą, jak ten wichur i że nie ma dla mnie ani jednego miejsca na ziemi”. Był nieufny, podejrzliwy i niesprawiedliwy. Aniela Gruszecka-Nitschowa podkreśla jako charakterystyczną cechę Żeromskiego w stosunkach z ludźmi niesłychanie łatwą w nim do obudzenia nieufność, „wietrze przy lada podniecie podłości czy podstępku, zły woli, żądzy wyżysku czy dżeczenia bliźnich i to najczęściej u ludzi, którym się ani śniło o podobnych motywach”. Z tej racji również stosunki z ówczesnym polskim światem literackim nie układały się najlepiej. Były oficjalne, bez szczególniejszej zażyłości z kimkolwiek. Świadek tak niepodejrzany, tak entuzjastycznie i młodzieńczo uwielbiający autora *Wiatru od morza*, jak Jan Lechoń, zaznacza w swoich wspomnieniach, że przywiązania Żeromskiego były równie namietne, jak niechęci, że sądy jego o współczesnych pisarzach były niezwykle podmiotowe, że potrafił osądzać niekiedy najnieprawdliwiej. Ale — jak słusznie Lechoń podkreśla — źródła tych pasji ukryte były nie w świadomej zawiści czy rywalizacji, do czego Żeromski był organicznie niezdolny, lecz w jakichś złożonych podświadomych, w tym ustawicznym poczuciu wiecznej obcości, samotności wewnętrznej, opuszczenia i niezrozumienia. W sprawach własnej pracy pisarskiej szczególnie zamknięty pisał skrycie, nie powołał o swych utworach w swojej obecności rozmawiać, tał swoje literackie zamiary.

jak wszystko lub prawie wszystko rozstrzyga się i dokonuje wśród niesłychanego napięcia rozlicznych, często sprzecznych i skłóconych ze sobą dynamizmów psychicznych osobowości. Otóż dezintegracja to ścieranie się sił przeciwnych w obrębie tej samej osobowości — wiary i niewiary, entuzjazmu i stanów depresji, zmysłowości i ascezy, chęci wyżycia się absolutnego i nakazu powściągliwości, samotnictwa, egotyzmu i potrzeby miłości, tkliwości, kontaktu duchowego z drugim człowiekiem. Ale nade wszystko dezintegracja psychiczna przejawia się w ustawicznym wewnętrznym niepokoju, niezadowoleniu i w poczuciu niższości ale nie w stosunku do świata zewnętrznego, lecz do siebie samego. Jednostka o bogatym i skomplikowanym życiu wewnętrznym, rozdzielana sprzecznościami, potrafi rozdzielić się niejako na podmiot i przedmiot, uczynić sama siebie obiektem obserwacji i autoanalizy. Stwierdza ona wglądając w siebie, że to, co czyni i co odczuwa, jest poniżej ideału osobowości, jaki ma w sobie i który chciałaby zrealizować. Ten stan ambiwalencji, który często utrzymuje się na przestrzeni całego życia i nigdy nie doprowadza do całkowitego zintegrowania się osobowości na jakimś wtórnie ustalonym poziomie duchowego rozwoju, czyni życie osobników tak skonstrowanych niezwykle trudnym, ale okazuje się jednocześnie niesłychanie twórczym i pozytywnym, wydaje się właściwie absolutnie koniecznym warunkiem rozwoju. Psychologia współczesna stwierdza, że bez poczucia niższości w stosunku do siebie samowychowanie jest nie do pomysłenia i że „proces dezintegracji wydaje się stać u podstawy wszystkich wielkich rozkwitów twórczych”.

Wydaje się w świetle dokumentów biograficznych, jakimi dysponujemy, że w Żeromskim ów stan dezintegracji wewnętrznej był stałą dominantą jego duchowego rzeczywistości. Żeromski, w którym osadzający mechanizm psychiczny, owo jakby czynne sumienie osobowości było niezwykle aktywne, miał całkowitą świadomość owej dwoistości wewnętrznej. „Dwie natury ścierają się we mnie — pisał w swoich *Dziennikach*. — Dwa wszystkie walk aniołów cienia i światłości”. Na takim osobniczym podłożu wszelkie konflikty ujawniały tendencje do przybierania form wyjątkowo ostrych i dramatycznych. Instynkt życia walczył namietnie z chorobą i z nekającą nieustannie obsesją śmierci, samotnictwa i egotyzm z silnym poczuciem wężi i solidarności społecznej, z chęcią ofiarowania się za in-



(Dokończenie ze str. 6.)  
modyfikacja fabularnych szczegółów. U jednostek w tzw. normie raczej to się nie zdarza, ponieważ nad zagadnieniami raz „zalatwionymi” przechodzą one do porządku, łatwo się akomodują i przystosowują do nowych układów i sytuacji, jakie wytwarza życie. U jednostek psychicznie zdezyntegrowanych ujawniają się skłonności diametralnie przeciwnie, tendencje do intensywnego wiązania się uczuciowego z problematyką i treścią, która je frapuje i do ustawicznego jej przeżywania, pogłębiania jak gdyby owych silnie przeżywanych zagadnień. Jest to oczywiście tendencja jak najbardziej pod względem społecznym i moralnym pozytywna i twórcza.

Wspomniałem o ambiwalencji sprzecznych dynamizmów psychicznych u Żeromskiego — pobudliwości erotycznej, nie liczącej się z żadnymi normami obyczajowymi i poczucia odpowiedzialności moralnej, poczucia hierarchii wartości w życiu społecznym i osobistym. Konflikt ten u osobników tak psychicznie zorganizowanych, jak Żeromski, musiał przebiegać wyjątkowo dramatycznie. Z jednej strony działał niesłychanie dynamiczny mechanizm życia popedowego, z drugiej niechęć do siebie i do swych postępów, samokrytycyzm, świadoma tendencja do hamowania dynamizmów prymitywnych, popedowych, animalnych, do przekraczania aktualnego poziomu i realizowania w sobie coraz silniej uświadomianego i przeżywanego ideału osobowościowego. Tą ambiwalencją należałoby tłumaczyć ów zdumiewający na pozór fakt, że w dziele Żeromskiego miłość do kobiety, zawsze żywiołowa, namiętna, frenetyczna, ogarniająca jak pożar całą osobowość kochanków, jest tak często przez stronę męską przewycieczana. Zastanawia u pisarza tak rozmiłowanego w zmysłowej urodzie życia ta bezwzględność, z jaką bohaterowie Żeromskiego odsuwają do siebie ukochane kobiety. Jest to jakby przeniesienie w sferę sztuki (przy jednoczesnym rzecz jasna literackim ich wyjaśnieniu) osobistych konfliktów i dylematów. Poczucie winy i zdrady w stosunku do ideału osobistego wyraża się w symbolicznym geście wyrzeczenia. Te znamienne rezygnacje wynikają bowiem nie tylko z podniecia i pobudek czysto społecznych. Są to zarazem dramatyczne rozstrzygnięcia najbardziej osobiste, intymnej sprawy. Jak żyć, aby uczynić z życia twór doskonały, aby sprostać ideałowi osobowościowemu. Tak Judyń z całą bezwzględnością odsunął Joasję jako przeszkodę w realizacji powołania: tak Sulkowski wyrzekł się kobiety, która jest „sła-

nością trzującego się męża”, tak Przełęczki zaryzykuje swoją komedię nie tylko dlatego, że jego romans ze Smugoniową byłby krzywdą Smugonia albo że zaszkodziłby owym kursom oświatowym dla chłopów, lecz przede wszystkim dlatego, że takie są jego obyczaje. Przy całym zafascynowaniu kobietą poetą jest ona u Żeromskiego w istocie rzeczą niemal z reguły jako element ściągający w dół, odwołujący od pięknej i bohaterkiej linii życia, jako symbol przyziemnych konieczności istnienia. Mężczyzna powołany do rzeczy wyższych musi być wolny. Tak Piotr Rozłucki w chwili pogrzebu Tatiany mimo całego tragizmu sytuacji doświadczył jak gdyby laski wyzwolenia. „Zdroło urody wszechrzeczy — powie o kobiecie Sulkowski — jest także pierwiastkiem omdlenia trzującego się męża. Zatruta strzała piękności rani ze swej zasadzki siłę, wstrzymuje męzny krok bohatera ogarniętego przez pracę, odwraca jego głowę od wiecznego celu... Miłość! Trzeba się wznieść ponad miłość!” Odsunięcie pokusy miłości jest zarazem przezwyciężeniem instynktu posiadania, jest swoistym uświadomieniem sobie błędnych przywiązań i nowych celów, jest koniecznym procesem sublimacyjnym na drodze rozwoju duchowego.

Podobnie tak wybitnie znamieny dla Żeromskiego, bardzo specyficzny typ patriotyzmu i altruizmu społecznego, a zwłaszcza skala napięcia tego patriotyzmu i altruizmu zdają się wyrażać wskazywać na ich osobniczą genezę. Literaturze polskiej nigdy nie brakło przecież pisarzy społecznych, oddających dobrowolnie pióro swe i talent na usługi zagadnień i potrzeb naszego życia narodowego. Ale u żadnego z nich bodaj sprawy te nie były przeżywane tak spazmatycznie, nie łączyły się tak integralnie z najwyższą udręką i cierpieniem. Tego samego doświadczeniem społecznym wytłumaczyć nie można, ponieważ wiedza społeczna innych, dawnych i współczesnych Żeromskiemu pisarzy wcale mniejszą nie było. Decydowała struktura osobowości. „Każda jednostka jest odmiennym, niepowtarzalnym typem o specyficznej strukturze psychicznej, o odmiennych dyspozycjach odziedziczonych, wrodzonych i nabytych, o odmiennych — pod względem rodzaju i stopnia — „słabych” i „mocnych” stronach, o różnie przebiegających kryzysach rozwojowych”. W Żeromskim wspomniane już poprzednio konstytucjonalne składniki psychicznego ustroju i okoliczności życiowe sprzyjały kształtowaniu się postawy odosobnienia, postawy obronnej wobec świata, przed którym ostrzegali

kie urazy, na wszelkie gesty nieprzyjemne, jakie mogą spotkać ze strony świata. Stąd ta negatywna ocena życia w jego utworach i absolutna aż do końca samotność Judyń, Rozłuckich i Przełęczki. Ale jednocześnie wzmożona pobudliwość psychiczna, niepokój, dynamizmy ideału sprzyjały postawie zaprzeczania samemu sobie, kwalifikowania własnych poglądów i poczynań. W wyniku intensywnych pracy myśli, w wyniku lektury, obcowania ze światem wielkich, szlachetnych ideałów, bohaterów historii i literatury, kształtował się własny ideał osobowości, który można było zrealizować tylko za cenę przewyciężenia tamtych, autystycznych i egotycznych postaw. Żeromski musiał już w młodości przeżywać najgłębiej owe stany uświadomienia, które tak doskonale w metaforycznym skrócie wyraża to słynne zdanie o konieczności zatracenia i zagubienia własnej duszy, aby ją ponownie odzyskać. Należało przekształcić instynktowny egoizm i egocentryzm w postawę alterocentryczną, poświęcić się i ofiarować w pracy dla innych i na tej drodze zrealizować ideał osobowościowy. Jest rzeczą bardzo znamieną, że na wielu kartach *Dzienników* Żeromski za najwyższe marzenie życia uznaje śmierć za ojczyznę. „Jedyną moją marzeniem, jedyną szczęściem, jakie jeszcze dostrzegam na mojej drodze — to śmierć za kraj...”

Ale artyści i poeci na ogół rzadko umierają na polach bitew i na barykadach walk społecznych. To, co u ludzi praktycznego działania dokonuje się w sferze życia, u artystów realizuje się w płaszczyźnie sztuki. Ekstremalny patriotyzm Żeromskiego i jego nabrzmiałe niesłychanym napięciem uczuć społeczeństwo wydają się w świetle analizy psychologicznej nie tyle, a przynajmniej nie tylko próbą faktycznej, doraźnej interwencji w sprawy narodu, bo Żeromski nie miał złudzeń co do utopijności swoich pomysłów i ich bezwartościowości praktycznej, lecz przede wszystkim aktem samopotwierdzenia i usprawiedliwienia samego siebie na własnym forum *internum*. Nie jest rzeczą przypadku, że bohaterowie Żeromskiego nie tyle czynnie działają, ile realizują do najwyższego stopnia perfekcjonizmu moralnego i sublimacji doprowadzony ideał osobowościowy, ideał poświęcenia się aż do ostatnich konsekwencji. Był to swoisty transfert, przeniesienie własnej sytuacji duchowej, własnych dylematów i najbardziej intymnych konfliktów etycznych, własnych marzeń i nie zrealizowanych ideałów w zobjektywizowaną sferę fikcji literackiej. A że ta fikcja będąc swoistym

instynkt samozachowawczy natury niezwykle silnie reagującej na wszelkie wyzwolenie artysty przynosiła zarazem czytelnikom wielką i nieocenioną korzyść i pomoc moralną i społeczną, to jest już ów zysk dodatkowy każdej wielkiej sztuki, wartość związana z każdym dziełem ludzkiego geniuszu i talentu, poczętym z najbardziej nawet osobistych, często nieświadomych wyraźnych pobudek.

Sumując te z konieczności pobieżne i szkicowe uwagi można by powiedzieć, że to wszystko, co zawsze odczuwano w dziele Żeromskiego jako jego indywidualną i osobniczą własność — słynne mroki Żeromskiego, jego otchłanny i przytłaczający pesymizm, ustawiczna oscylacja wśród przeciwieństw dobra i zła, negacji i aprobaty, dysonansów, ekstremizm uczuciowy, maksymalizm moralny, ekstatyczny patriotyzm i żarliwe społecznictwo, wszystko to miało swe organiczne determinanty w strukturze osobowości, osobowości niezwykle wewnętrznie skomplikowanej, udręczonej sprzecznościami, przeżywającej życie i świat wśród niesłychanego napięcia wszystkich władz umysłu, woli i serca. Żeromski nie byłby tym, kim jest w naszej literaturze narodowej, gdyby był osobowością inaczej i szczęśliwiej dla siebie ukształtowaną. Niepodobna jednak nie zauważyć, że instynktowne dążenie ludzkości do przeciwdziałania cierpieniu może niekiedy prowadzić do rezygnowania z doznań, które bardzo często wyzwala ją olbrzymie i głębokie wartości twórcze. Tylko własne cierpienie, własne trudne życie uwarściła na cierpienie innych, rozszerza sferę doświadczeń, pozwala innym zrozumieć. Prawda i wielkość Żeromskiego w tym się właśnie wyraża, że twórczość jego poczęła się z najwyższej miłości i z najgłębszego cierpienia, z dramatycznych rozdźwięków i dysonansów. Można by poniekąd zastosować do niego powiedzenie pisarza, który był w dużym stopniu naturą i organizacją duchową Żeromskiemu pokrewną, Marcellego Prousta:

„Wszystko, co mamy wielkiego, zawdzięczamy nerwowcom. To oni, a nie inni, poczęli religie, stworzyli arcydzieła. Nigdy świat się nie dowiódł, ile im zawdzięczamy, a zwłaszcza, ile oni wycierpieli, aby to dać światu. Szczęśliwy się ich boską muzyką, ich pięknymi obrazami, tysiącem subtelności, ale nie wiemy, ile one kosztowały bezsennych nocy, płaczów, spazmatycznego śmiechu (...) lęku przed śmiercią, który jest gorszy niż wszystko”.

Artur Hutnikiewicz

## DO ADASIA ŻEROMSKIEGO

Venezja, Lido — willa Otello  
11.V.1914.

Najdroższy Adziu!

Jestem w Wenecji i zatrzymałem się na Lido. Chcę spróbować przeżyć tutaj parę dni, czy mi tu nie zginie do reszty gorączka i poty nocne. W drodze, wiad, z lekarstw i jazdy dostałem zwyczajnych swoich kurczów żołądkowych, ale tak silnych, że myślałem, że będzie ze mną koniec. Nic nie jadłem ze 48 godzin. Dziś mi jest lepiej, ale jeszcze nie jadam nic stałego. Temperatura znowu się podniosła trochę. Tu na tym Lido jest zupełnie pusto, nie ma wcale przyjezdnych i wszystkie lokale są pozamykane naглуcho. Odpocznę tu parę dni i pojedę do Zakopanego, ale boję się jechać od razu, bo gdybym musiał jechać w takim stanie jak w robocie to bym nie dojechał nigdzie. To Lido jest bardzo ładne gdy takie puste. Zdaje mi się, że jestem w Nałęczowie na wiosnę. Tylko, że morze huczy, bo wiatr i deszcz. Nie wiem, czy Wasz list by mnie tu zastał, ale daję adres, gdyby to zaszło. Całuję Was serdecznie. S. Żeromski\*.

## DO JANA WITKIEWICZA

Drogi Janku!  
Orlowo Mały Kącik (Klein Katz)  
woj. pomorskie  
d. 29 VI — 1920

Najserdeczniej dziękuję Ci za list, który dziś otrzymałem. Teraz żadną miarą nie mogę przyjechać do Nałęczowa, lecz dopiero w jesieni. Natychmiast napisałem do moich wydawców, żeby wysłali pieniądze dla panny Felicji na dalsze wydatki. Dziękuję Ci po tysiąc-kroć Drogi Janku za zajęcie się sprawą budowy kaplicy. Jestem pewny, że zobaczysz piękne nowe Two dzieło najdroższe dla mnie. Co do witraży, to rysunek Adasia zostawiłem u Tymona Niesiołowskiego w Zakopanem, gdyż on podjął się przerysować szkic Adasia un

## Listy Stefana Żeromskiego

większy format i w ogóle przenieść ten rysunek na rysunek witrażowy. A więc do niego (tego Tymona) trzeba by przesłać wymiar okna. Może był byś tak dobry i przesłał ten wymiar na ręce twej Siostry panny Marii a Ona doręczyłaby wymiar Tymonowi, — gdyż nie mam dokładnego adresu, a także obawiam się, czy ten Niesiołowski jest teraz w Zakopanem. On by po przerysowaniu szkicu Adasia oddał do szklarni Żeleńskiego w Krakowie, bo jak mnie zapewnili, zna się na witrażnictwie.

Co do posiadzki, to zechciej i to zadecydować Janku, myślę, że czarna posiadzka byłaby ładniejsza, ale czy będzie pasowała do całości? Należałoby zaraz zapłacić skoro tylko otrzymam wykaz co to będzie kosztowało.

Moim marzeniem jest żeby w kapliczce umieścić ten prześliczny krzyż z cmentarza, gdy już zwłoki Adasia tam już będą przeniesione. Ale gdzieby go postawić? Czy architektonicznie da się uskutecznić.

Chciałbym cały ten ogród otoczyć ogrodzeniem, żeby tam nikt nie wchodził. Toteż w tym celu radbym przyłączyć do tego kawałka gruntu przy chacie mały skrawek ogrodu willi do rogu murowanej stajni czy szopy, której tylna ściana i terytorium p. Cieciszowskiej przylega do ogrodu willi. W ten sposób powstał by kwadrat zupełny ogrodu, którego środek (na szerokości) zajmowałaby kaplica. Dopiero ten kwadrat ogrodzony czymś (drutem czy wicią drucianą) z cmentarnymi słupkami, można by zasadzić drzewami od strony sąsiedztwa i uczynić zamkniętą całość otaczającą świątynię. Ale pewnie takie ogrodzenie teraz będzie dużo kosztowało. Czy przy sposobności nie mógłbyś mniej więcej oznaczyć kosztów takiego ogrodzenia?

Nie naruszałoby to wcale całości posiadania gruntu „Oktawii”, lecz zabez-

pieczałoby od przejęcia przez terytorium kapliczki, a szczególnie od inwazji krów, psów itd. Z radością przeczytałam, że krata już się robi u Ciebie. W jesieni pojedę do Zakopanego i przywiozę do Nałęczowa wszystkie rzeczy Adasia do chaty. Wtedy przeniesiemy jego zwłoki. Dziękuję raz jeszcze za wszystko i łączę serdeczne pozdrowienia dla Was wszystkich.

S. Żeromski.

Wny Pan Jan  
Witkiewicz  
Inżynier Budowniczy  
w Kazimierzu nad Wisłą  
powiat Puławy

Orlowo 2.VII.1920.

Kochany Janku!

Proszę Cię najuprzejmiej, Kochany Janku, o wiadomość, jak stoi sprawa budowy kaplicy dla Adasia w Nałęczowie. Wyjeżdżałem na teren plebiscytowy warmiński i nie ma na tej roboty wiadomości o postępach tej roboty.

Adres mój obecny: Stefan Żeromski  
via Gdańsk, poczta Mały Kącik (Klein Katz) w Orlowie (Adlerskorst).

16.III.1921

Drogi Janku!

Dziękuję Ci serdecznie za list z dnia 3 marca i za wyjaśnienia w nim zawarte. Najchętniej zgadzam się na propozycję pokrycia dachówką po kapie-lach ludowych i zaraz wysłać do panny Sulowskiej 20000 marek, a wszelkie inne wydatki najpóźniej ureguluję. Czy mógłbym na Twoje ręce wysłać już teraz należność za robotę drzwi i krzyża, — i ile to wyniesie? Mam prośbę do Ciebie o wiadomość, jaki jest dokładny wymiar okna w kaplicy i ile by w tym oknie powinien zająć witraż Adasia? Czy wasze warsztaty nie robią w szkło witraży? Jeżeli nie można w Kazimierzu zrobić tego witraży-

ka, to bym go obstałował u Żeleńskiego, a powiększenie ma zrobić Tymon Niesiołowski. Jestem tak zachwycony kaplicą, że tego wyrazić nie mogę.

Tylko Twoja dusza mogła stworzyć dzieło tak doskonałe, taką formę nieomylną i prostą.

Teraz co do sprawy odżywiania Twoich uczniów. Rzecz jest na dobrej drodze. Byłem u Wiktora Gloora prezesa Komitetu Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. To on zaopatrzył ochronkę nałęczowską i teraz obiecał dać tam ubranka. Ma on zakres dziecięcy (do 7 lat), ale zgodził się dać wam ryż, kaszę, Herkulo, mleka kondensowane, czekoladę, kakao i inne środki odżywcze. Ale ktoś po to musi przyjechać, najlepiej Ty, Janku. Trzeba napisać prośbę do Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża działającego w Polsce (na ręce p. Victora Gloora) po francusku. Wymienić ilość chłopów i zaznaczyć potrzeby, ale nadmienić, że to proletariaty i że głodują.

Na początku proszę napisać, że to za moją radą ujadacie się do tego Gloora, bo on ma dla mnie specjalny sentyment i natychmiast to załatwi.

Prośba niedługa, tylko najgłówniejsze rzeczy po francusku dlatego, że on to musi przedstawić swoim władzom. Tytus jego zastępuje. A. Mr. Victor Gloor, Directeur du Comité Croix-Rouge de Suisse en Pologne. Hotel Europejski w Warszawie. Gdybyś był u niego osobiście, można się z nim porozumieć po polsku (słabo mówię), ale doskonale mówię po rosyjsku. Obiecał mi najsoleniej, że zaraz załatwi byle by załatwić niezbędne formalności i zabrać szybko prowianty ze składów na ulicy Wolskiej. Mają tam olbrzymie składy.

Będę Ci bardzo wdzięczny za wiadomość, kiedy Łuka będzie mógł zabrać dachówkę. Żeby to jak najprędzej! Tak bym tego pragnął.

Adres do mnie najlepszy — Towarzystwo Wydawnicze, Marowiecka 12 w Warszawie. Sciskam serdecznie Ciebie i Twoich

Stefan Żeromski

\* List ten znajduje się w Muzeum w Nałęczowie.



# W KLIMACIE ŻEROMSKIEGO

(Dokończenie ze str. 1)

ne, czy było to na wiosnę, czy, jak twierdził ówczesny świadek, jesienią. Chociaż zapamiętałbym koloryt kłonu. W jesieni jest zawsze płonący, a wtedy był chyba ledwie żółtawy.

Szliśmy w kondukcje. Nasłuchiwałem zdumiony, oszołomiony szepem prowadzonych rozmów. Owszem, żalowałem nieboszczyka. — Porządny był, choć nie tutejszy, spokojny, nie ubliżył nikomu. Wdowa też równa, żal jej, acz nie zawsze do składu mówi, ale najwięcej żal tej książki. Lata nad nią pracował. Mówił, że będzie ważna, potrzebna. Komu teraz będzie się chciało taką napisać. — Szurkali się łokciami, wskazywali oczyma na mnie. — Ii, do takiej on niezdarny. Tu trzeba takiego, który na stołku lubi siedzieć, a ten ma szpilki w siedzeniu.

Namawiali mnie jednak, abym spróbował. — Widział pan tę książkę, może poradzi pan ją odtworzyć? Próbowałem. Nie wyszło. Wtedy zaczęli namawiać, abym wystawił „Przepróreczkę”. Znali tę sztukę z czytania. Chcieli zobaczyć na scenie. Zagraliśmy. Fredzia Turkówna była Smugoniową, jej brat grał Przepróreczkę. Na premierze było sto osób. O kilkadziesiąt metrów od stodoły, w której odbywało się przedstawienie, stacjonowała kompania SS. Poszło gładko. Zygmunt Dereń napisał recenzję. Czytaliśmy ją z zachwytem, niczym najlepsze recenzje Boya czy Borowego. Nie przeszkadzały nam ekscentryczne, zaskakujące porównania, ani tym bardziej błędy ortograficzne.

Pod koniec wojny mieliśmy własne kółko czytelnicze z sekcją teatralną. Prezes kółka, nie żyjący dziś Jan Czajor, wymagał od każdego wstępującego znajomości co najmniej czterech utworów Żeromskiego. Najchętniej widział „Wierną rzekę”, „Syzyfowe prace”, „Siłaczkę”, „Ludzi bezdomnych”. Ale tolerował inne. Złazczyła „Przedwiośnie”, chociaż nie podobała mu się w tym utworze postać bohatera. — Za mało męski — twierdził. — Niby wiele widział, wiele przeżył, ale miękki.

Na zebraniach kółka kładł nacisk na czytanie utworów Żeromskiego. — Ktoś przecież musi zadbać, aby tego właśnie pisarza ustawić najwyżej. A kto to ma zrobić, jak nie my, ludzie z Jego krainy? Po wojnie na pewno przyjdą lepsi, o innych sprawach będą pisać, ale my tu w naszym regionie, będziemy wychowywać ludzi na jego książkach.

To był klimat. W tym klimacie powstawały i moje książki, krzepły i moje zainteresowania. Kiedy przeczytałem pierwszy dłuższy utwór, nad którym nie ma nocy spędziłem, kiedy go przeczytałem w dusznej, zapchanej do ostatniego miejsca izbie, długo czekałem na wyrok. Serce tłukło się niespokojnie, widziałem oczami po znajomych, ale jakże zagadkowych w tej chwili, nieprzebrniętych twarzach. Chrzakałi, palili papierosy, patrzyli uparcie w podłogę. Milczeli. — Zganić nie można — odezwał się wreszcie któryś — a do pochwały nie ma się co kwapić. Powiem: dobre, to się autor obrazi. Powiem: bardzo dobre, to mi nie starczy słów do oceny Żeromskiego.

Pomyślałem natychmiast ze strachem, że przed tym audytorium nigdy nie wytrzymam konkurencji. Zawsze będą oceniali moje książki w zestawieniu z utworami Wielkiego Stefana. Nie, nie będę miał odwagi pisać.

Nagle rozległ się bas starego Szeptu:

— Naszemu Jędrasowi w hodowli nikt nie dorówna, a przecie i nie mało w naszej wsi dobrych gospodarzy. Żeromski swoją drogą, a inni swoją. Niech pan pisze dalej. Zobaczymy. Ale pisać trzeba prawdę. Na drugi raz niech pan wyraźnie napisze, że odmiana w naszym kraju zaczęła się od papierosów.

— Kpi? — spojrzałem niepewnie.

— Czy pan nie widzi, że chłopci nie palą już machorki? Rząd skasował. Mądrze zrobił. Mała rzecz? Zda się, że mała. Na pozór. Ale chłopca po tej machorce zawsze było można z daleka poznać. A dziś nie. Wszyscy palą drażkowe papierosy. Dobry pisarz, po mojemu, i taki szczegół zauważył. W książce wszystko jest ważne. Niech każdy tu obecny dorzuci jeden szczegół i ma pan książkę gotową.

Dorzucali. Co miesiąc, co kwartał, co rok. I wtedy, kiedy stawali słup, na których ich synowie — elektromonterzy rozciągali druty i lampy, i wtedy, kiedy budowali szosę i polewali ją smo-

łową, i kiedy urządzali mieszkania dla pierwszych lekarzy, i kiedy jeździli tłumnie do teatrów do Krakowa i do Kielec lub na wycieczki w Góry Świętokrzyskie, aby przeczytać sobie w Puszczy Jodłowej fragment z odpowiedniego utworu Żeromskiego. Jak też te słowa brzmiały na te prawdziwych drzew: jodeł, buków, kłonów.

Kilka książek, a zwłaszcza „Listy z parafii”, „Apostołowie”, „Złota woda”, powstało z ich inspiracji, że nie wspomnę już o licznych artykułach, które do słownie pisałem na zamówienie. — Niech no pan siada i machnie o, tu, tu będzie wygodnie, o Ciosku, o Zadrzynie, o wdo wie — Ciężkowej, przecież oni tam, w świecie, ani się domyślają, że taka krzywda dzieje się człowiekowi. — Siadłem i machałem. Często pomagało. I w urzędniczych piersiach biła serca.

W wiele lat później przyszła moda na konfrontowanie realiów. Z Obrzydłówek i ex-Pyrzogłówek przychodzili młodzi ludzie z książkami pod pachą. „Syzyfowe prace”? Zobaczymy, co z tego zostało. Jeździli więc do Kielec, szukali śladów po stacji Przepróreczycy, po radcy Semonowicz, po Grzebielkim. Przywozili rewelacyjne informacje o stosunkach panujących w internatach, w nowych stacjach kieleckich. Próbowali na sobie wrażeń, jakie wywołuje wysłuchanie „Reduty Ordona”, utworu, który w mig przeobraził Marcinka Borowicza i jego kolegów. Kazali ten utwór deklamować wybitnym recytatorem i dochodziło do wniosku, że są inni, że tamci, ich poprzednicy, formowani byli zgola inaczej, przez innych ludzi, w innych, absolutnie odmiennych warunkach. I domagali się napisania o tym w specjalnej książce, która byłaby współczesną wreszcie „Syzyfowych prac”.

— I tak oto powstała powieść „Obecny”. niedoskonała oczywiście. Ale nigdy, poprzez wszystkie lata razem wzięte, nie otrzymałem w sumie tak wielkiej ilości listów, jak po ukazaniu się „Obecnego”. Jeszcze do dziś napływają, jeszcze dziś przychodzą zaproszenia do dyskusji do bardzo odległych, nie notowanych na mapach samochodowych miejscowości.

Nie wiem, ile i jakie pomniki zbudowano w innych krajach pisarzem. Ten, który zbudowano w Kielecczynie Żeromskiemu, jest, zdaniem moim, najtrwalszy. Od lat obowiązuje w naszym regionie permanentny konkurs na odznakę czytelniczą im. Żeromskiego. Aby oznakę tę, zaszczytną, zobowiązującą, uzyskać, należy przeczytać minimum dziesięć książek. W tym co najmniej pięć Żeromskiego. Widziałem tłumy chłopców i dziewcząt w wieku od szesnastu do dwudziestu kilku lat, wychodzących godzinami na „egzamin sprawdzający”. Widziałem setki starszych ludzi, którzy uczestniczyli jako słuchacze w tych egzaminach, wtracali własne opinie i sądy, konfrontowali wizję Żeromskiego z dniem dzisiejszym.

W Kielecczynie są więc, w których kultura do Żeromskiego przechodzi z pokolenia na pokolenie. Znajdziecie w nich ludzi, którzy recytują z pamięci fragmenty z „Wiernej rzeki”, „Sno-bizmu i postępu”, „Ech leśnych” czy „Słowa o Bandosie”. W Dobrej k/Staszowa recytatorami są przedwojenni analfabeci, którym twórczość pisarza wskazywała drogę do walki z irracjonalizmem, do celowego wykorzystywania wolnego czasu, do społecznych poczynków.

Mieszkańcy Sw. Katarzyny, ci ze średniego i młodego pokolenia, szukając śladów „Dzienników” pisarza, odnaleźli tuż w pobliżu źródła św. Franciszka zapomnianą mogiłę bohaterki — chłopki Marii Kobyleckiej, zamordowanej przez gestapo za pomoc okazywaną partyzantom.

Tak oto stare tradycje wiążą się z nowymi. Obok pięknych, żyjących jeszcze ciągle legend świętokrzyskich, powstają nowe, oparte o doświadczenia ostatniego ćwierćwiecza.

Nie mała rolę w utrwaleniu tego klimatu, w przekształcaniu go na czyny trwałe spełniają władze kieleckie. W bieżącym roku, w setną rocznicę urodzin pisarza, Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej ogłosiło konkurs na powieść związaną tematycznie z naszym regionem. Obfity płon konkursu świadczy o szerokich zainteresowaniach, o współudziale naszych twórców w wielkich przeobrażeniach społecznych regionu i kraju. Dzięki pomocy tychże władz otwarte zostanie niebawem muzeum Żeromskiego w gmachu szkoły, do której uczęszczał autor „Syzyfowych prac”. Będzie to jedno z najciekawszych muzeów tego typu w kraju.

Właśnie Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu w Kielecach ogłosił ostatni kwartał 1964 r. poświęcony Stefanowi Żeromskiemu. Na Apel Komitetu odpowiadały wszystkie organizacje, zrzeszenia, związki twórcze,

# RZECZ O GOSPODARZACH

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ

**N**A dźwięk słowa „gospodarz” robi się człowiekowi miło i ciepło.

Gospodarz to ktoś dobry, a przede wszystkim dbały. Ktoś, komu nie jest obojętne, co i — zwłaszcza — jak się dzieje na terenie jego gospodarowania. Kiedy słyszymy „gospodarz”, odczuwamy opiekę i natychmiast wiemy, że jest właśnie tak, jak chce te stare ludowe przysłowia: „Oko gospodarza bogactwa przysparza”. I jakże smutno robi się człowiekowi gdy skonstatuje, że widać nie na wszystko oko gospodarza baczny. Ze w tym i owym województwie, w tym i owym powiecie gospodarz patrzy a patrząc to i tamto postanawia — byle lepiej — nie na cały dobytek. Nie na cały! Ze patrzy na mosty i drogi — i chwala mu za to — lecz nie patrzy na biblioteki i czytelnice, że myśli i myśli o zasiewach i skupie — i chwala mu za to — lecz nie myśli ani rusz o tym, że np. od kilku już lat stoją fundamenty domu kultury i nie mogą podrosnąć murami wzywać. „A no widać coś nie klapuje”. I jakże zdziwili się taki gospodarz, gdyby mu powiedzieć, że m. in. on sam oświadczył jest winien temu stanowi rzeczy. Odpowiedziałby niechętnie: „Ja? Ludzie drodzy, przecież ja mam ważniejsze rzeczy na głowie. Nie rozerwę się”.

Nikt, broń Boże, nie chce, by się rozrywał. Ale właśnie chodzi o te „ważniejsze rzeczy”. O wytwarzanie klimatu tego typu. O przeświadczenie w społeczeństwie, a więc i w urzędach, że te „inne rzeczy” są niewątpliwie ważniejsze. Ze są oczkiem w głowie gospodarza. Kiedy pewnego przewodniczącego powiatowej rady narodowej w południowo-wschodniej Polsce spytano, jak mógł dopuścić do tego, by murzały fundamenty placówki kulturalnej, której budowa nie jest kontynuowana od paru lat, odpowiedział ze złością: „Nie na tych fundamentach opiera się rozwój naszego powiatu. A powiat jest przecież produkujący. Chyba wam w województwie powiedziano”. Ano tak, powiedziano.

Z tym większą przyjemnością zwiędzialem niedawno rejonowe ośrodki kultury w województwie szczecińskim. Są one rezultatem bezpośredniego współdziałania działaczy kulturalnych, politycznych i administracyjnych. Ośrodki te to coś zupełnie nowego. Coś, czego przedtem w Szczecińsku nie było i co jest w pełni miejscowym przedsięwzięciem. Działają one cały teren województwa na takie właśnie rejonowe kulturalnej działalności, które są mniejsze niż powiaty, więc łatwiej je ogarnąć, a w każdym takim rejonie centralną rolę odgrywa oczywiście rejonowy ośrodek kultury.

zawodowe, młodzieżowe. Fotograficy przygotowują wielką wystawę n. t. „Wizja Żeromskiego”. Młodzież — złoty z udziałem pisarzy, krytyków, artystów. Zespoły amatorskie — fragmenty sztuk pisarza, świetlice, domy kultury, szkoły i biblioteki — współzawodniczą ze sobą o najpiękniejszą wystawę, najlepszy wieczór poświęcony pamięci pisarza, o najbardziej estetyczną dekorację. Ambitny teatr kielecki przygotowuje starannie „Przepróreczkę”.

Z całego kraju napływają listy, których autorzy opowiadają o doborowych czynach społecznych podjętych dla uczczenia pamięci pisarza.

Na Wielkim Szlaku Stefana Żeromskiego od Chęcin do Zagnańska, od Ciekot i Strawczyna do Pińczowa, Jędrzejowa, Sandomierza i Opotawa powstały w ciągu lat dwudziestu trwałe pamiątki naszej kultury. Szkoły — pałace, boiska, stadiony, świetlice, domy zdrowia, sanatoria, domy wypoczynkowe, nowoczesne zakłady pracy. Wzdłuż drogi, którą ongi kroczył do szkół Jędrzej Radek, wyrosły nowe osiedla, a w nich szklane domy i ludzie z krwi i kości przy szklanych ekranach.

Dwadzieścia zaledwie lat minęło od chwili, gdy w chałupie oświetlonej karbidówką, radziłymi z sąsiadami — gospodarzami nad zabudowaniem trwałego pomnika Stefanowi Żeromskiemu. Tylko dwadzieścia lat.

Waldemar Babinicz

Sprawa nie byłaby aż tak kapitalna, gdyby nie pewne fakty. Ostatecznie we wszystkich województwach dzięki ludziom dobrej woli powstają interesujące inicjatywy, powołuje się do życia nowe placówki kulturalne, oparte na nowych zasadach działania. No tak, ale działacze szczecińscy, jak sam przyznają, rozpoczęli to swoje przedsięwzięcie „spóźnieni”, kiedy minęło już głośnie tworzenie głośnie ognisk życia kulturalnego w szkołach, tworzenie placówek kompleksowych itd. Nie mieli zatem na ten swój rejonowy cel specjalnych funduszy. A jednak całe przedsięwzięcie udało się znakomicie. Powstał bowiem na Ziemi Szczecińskiej właściwy klimat dla tego rodzaju spraw. I to okazało się silniejsze niż finansowe przeciwności. Rejonowe ośrodki kultury stały się oczkiem w głowie nie tylko organów do spraw kultury, lecz w ogóle miejscowych władz. Stały się oczkiem w głowie gospodarzy.

I na tym właśnie polega waga tego wydarzenia. W Szczecinie sprawy rozwoju kulturalnego całego województwa stanęły w centrum poważnego zainteresowania poważnych i kompetentnych ludzi. Dlatego rejonowymi ośrodkami kultury wszyscy się interesują. I dlatego bez zbytniego ryzyka można wróżyć im dobrą przyszłość.

Zresztą sprawa nie kończy się na rejonowych ośrodkach. Na czele nie tak znowu dawno temu, wtedy kiedy się zmienił klimat dla tych spraw, powołano do życia Szczecińskiego Towarzystwa Kulturalnego stanął sam przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Podobnie stało się też w Poznaniu, gdzie prezesurę Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego powołano gospodarzowi województwa. I tu i tam fakt ten znacznie ułatwił start towarzystw. Tak, naprawdę, trzeba znać ludzi, by od razu zrozumieć, że właśnie to zadecydowało, iż do nowo powstałych stowarzyszeń zaczęli garnąć się. Udział gospodarzy w pracach tych stowarzyszeń z miejsca nadał im wysoką rangę. Spowodował, że ten i ów zaczął traktować społeczny ruch kulturalny jako ważną sprawę polityczną, bo skoro sam przewodniczący rady wojewódzkiej tym się zajmuje, to widać sprawa jest ważna i polityczna.

Znaleźli się zresztą tacy, którzy udział gospodarzy w społecznym ruchu kulturalnym powitali krytycznie, na zasadzie besserwislerstwa. Byli to zwłaszcza dziennikarze niektórych warszawskich gazet, którzy z miejsca zawyrokowali, że przewodniczący rady wojewódzkiej jako przewodniczący wojewódzkiego stowarzyszenia kulturalnego to po prostu jedna wielka lipa i zawracanie głowy. Ze taki zarząd społecznego stowarzyszenia to zarząd zblięzokratyzowany i że nie urzędnicy władz działają w społecznym ruchu kulturalnym, tylko działacze. Pozornie wywoły takie nie są pozbawione sensu. Ale — powtórzmy — pozornie. W rzeczywistości bowiem ci filozofowie po prostu zapomnieli, że społeczny ruch kulturalny działa nie na scentralizowanych zasadach, nie ma ogólnych personalnych zaleceń, kształtuje się w każdym regionie po swojemu i swój własny układ programu kulturalnego rozwoju środowiska. A zatem owi gospodarze weszli nie na zasadzie „klucza”, nawet nie na zasadzie ogólnokrajowego zwyczaju, lecz dlatego, że chcieli stać się społecznymi działaczami kulturalnymi. Ze zrozumieli, iż działalność ta to ważna polityczna sprawa. Można im tylko za to podziękować, gratuluując równocześnie właściwego patrzenia na rzeczywistość. Społecznemu ruchowi kulturalnemu w Wielkopolsce i na Pomorzu Zachodnim wyszło to tylko na dobre. A nawet na bardzo dobre.

Przykład idzie z góry. Toteż w wielu powiatach województwa poznańskiego lokalnym stowarzyszeniom kulturalnym przewodzą gospodarze: przewodniczący rad powiatowych lub nawet pierwsi sekretarze komitetów powiatowych partii. Zaczęło to być w tym województwie w dobrym tonie. Gospodarze znajdują zawsze czas dla kultury, opiekują się nią, występują z własnymi, bardzo sensownymi pomysłami. Z inicjatywy gospodarzy powiatu Leszno

(Dokończenie na str. 11)



**P**RAWO krajów bloku socjalistycznego jest od wielu lat przedmiotem żywego zainteresowania i pracowitego badania na Zachodzie. Temu przedmiotowi poświęca się setki publikacji. Powstają w państwach kapitalistycznych specjalne środki badania „prawa wschodnioeuropejskiego”. W Lejdzie (Leyden, Holandia), mieście słynnym już w końcu XVI wieku ze swego uniwersytetu, za sprawą tego uniwersytetu publikuje się serię prac pod ogólną nazwą „Law in Eastern Europe” (Prawo Europy Wschodniej). W Strasburgu (Francja, Alzacja) utworzono „Centre de recherches sur l'URSS et l'Europe de l'Est” (Ośrodek Badania Naukowego ZSRR i Europy Wschodniej). Ten ośrodek wydał już dwa tomy prac, trzeci ukaże się w 1965 r. Współpracownikami tych publikacji są obok Francuzów naukowcy radzieccy, polscy i inni. W czasopiśmie „Revue Internationale des Sciences Administratives” (Bruksela) ukazują się prace poświęcone nauce administracji i prawu administracyjnym krajów bloku socjalistycznego. W czerwcu br. ukazał się specjalny numer tego czasopisma poświęcony Polsce, a to z okazji odbywającej się w Warszawie konferencji międzynarodowej (Tabela Ronde) Instytutu Międzynarodowego Nauk Administracyjnych w Brukseli. Autorami artykułów w tym numerze są naukowcy polscy.

Badania prawa socjalistycznego na Zachodzie nie mogą pozostać bez wpływu na jego prawo. Słuszność tego twierdzenia nie może być poparta niewątpliwymi dowodami: autorzy nie pozwalają się nigdy na prawo krajów socjalistycznych jako na źródło swego natchnienia. Jednakże w tych wypadkach, gdy problematyka zagadnień prawnych rozważanych przez autorów zachodnioeuropejskich żywo przypomina problematykę roztrząsaną u nas, trudno oprzeć się przekonaniu, że nasza dyskusja miała tu swój wpływ. Na przykład „Temat nr 1” wspomnianej wyżej konferencji międzynarodowej w Warszawie był sformułowany: „Reakcja jednostek wobec funkcjonowania administracji”. Referat generalny do tego tematu obejmował zagadnienia: petycje, skargi i reklamacje indywidualne lub kolektywne pod adresem rządu lub parlamentu, dostęp do akt, udział jednostki w wykonywaniu administracji... Czy nie są to tematy „nasze” wytrwałe u nas niedawno dyskutowane (z kompleksu „udział mas”)?

Mówiąc o wpływie prawa krajów socjalistycznych na prawo krajów kapitalistycznych nie można uniknąć dygresji w sprawie: czy istnieje wpływ odwrotny — prawa zachodniego na prawo krajów socjalistycznych? Pomińmy te kwestie trąciłyby szowinizmem, który jest zupełnie obcy naszej praktyce. Można uważać za regułę w naszej twórczości prawnej, że opracowanie projektu jakiegokolwiek aktu normatywnego poprzedzamy studiowaniem materiału w postaci analogicznych aktów obowiązujących w innych krajach — socjalistycznych i kapitalistycznych. Natomiast w naszej doktrynie prawnej brak niestety zdecydowanego stanowiska w sprawie ustosunkowania się do doktryny prawnej zachodnioeuropejskiej. Są naukowcy, którzy zdecydowanie unikają w swoich pracach korzystania z doktryny zachodnioeuropejskiej. Są tacy, którzy korzystają z niej, ale w miarę możliwości nie ujawniają tego w swoich publikacjach. Są również tacy, którzy korzystają do syta z doktryny obozu zachodniego i bez zęnaty ujawniają to w swoich pracach. Ale znana mi jest tylko jedna przynajmniej, zdecydowana i niedwuznaczna wypowiedź. Jest to artykuł Stanisława Ehrlicha i Sylwestra Zawadzkiego ogłoszony w języku rosyjskim w majowym numerze „Sowietskoe Gosudarstwo i Prawo” za rok ubiegły pt. „Niektóre problemy rozwoju nauki prawa w Polsce Ludowej”. W tym artykule autorzy podkreślają doniosłość walki z burżuazyjną ideologią w dziedzinie nauki prawa występującej przeciwko zasadniczej niechęci do burżuazyjnej nauki prawa w ogóle, jaka ujawnia się nieraz w działalności naszych naukowców. Autorzy piszą: „Wulgarnym było takie rozumienie krytycznego stosunku do nauki burżuazyjnej, że jest obowiązkiem marksisty zajmować pozycję odwrotną we wszystkich kwestiach lub kwalifikować każdą instytucję prawną prawa burżuazyjnego jako sprzeczną z istotą państwa socjalistycznego. Nie godząc się z wulgarnym podejściem do funkcji krytyki marksistowskiej, nie wolno zarazem godzić się z faktami fałszywie rozumianego „obiektywizmu” wobec obcych nam poglądów ideologicznych, z osłabieniem

fensywnie treści prac naukowych. Tylko twórcze podejście jest rękomią przezwyciężenia krytycznego teorii burżuazyjnej przy jednoczesnym wzbogaceniu marksizmu tym wszystkim, co zasługuje na aprobatę, a to w celu uzupełnienia naszej wiedzy o rzeczywistości”.

Mamy na pewno słuszną ambicję wywierania wpływu na naukę prawa kapitalistycznego. Jest to konsekwencja naszego internacjonalizmu. Jeśli nie będziemy wzbogacać naszej myśli prawniczej odkrywczymi koncepcjami zachodnioeuropejskiej nauki prawa, nie popadającymi w sprzeczność z naszą ideologią, tylko dlatego, że są to koncepcje „kapitalistyczne”, odizolujemy się od nauki Zachodu i spowodujemy naturalną reakcję w postaci odizolowania się od nas myśli zachodniej. Taką konsekwencją musi być oceniona bardzo negatywnie ze stanowiska ogólnego postępu.

Wobec wzmożenia na Zachodzie ingerencji państwa w życie społeczne i jednocześnie zaczynają zawodzić tam dotychczasowe środki i drogi obrony obywatela przed samowolą administracji — skargi w drodze instancji administracyjnych i skargi do sądu. Skargi administracyjne, tj. wnoszone przez obywatela do wyższych instancji administracyjnych są mało skuteczne z

prawa najszerszej kontroli działalności urzędników z własnej inicjatywy lub na skutek skargi obywatela. Ma on prawo przeprowadzić dochodzenie w każdej sprawie administracyjnej i w razie stwierdzonego naruszenia prawa kierować sprawę na drogę sądową. Ale ombudsman rzadko korzysta z drogi sądowej. Już samo dochodzenie jest skuteczne. Dla urzędnika nie mniej groźny niż sąd jest rozgłos, jaki powoduje zainteresowanie się ombudsmanem jego działalnością. Dzień w dzień o godzinie 11 rano biuro ombudsmana odwiedza przedstawiciel agencji prasowej dla zapoznania się ze skargami, które wpłynęły dnia poprzedniego i otrzymaniu informacji o wszczętych przez ombudsmana dochodzeniach. Prasa codzienna szeroko omawia te sprawy. Również parlament roztrząsa je publicznie z okazji sprawozdań, do których składania ombudsman jest obowiązany. Ten rozgłos ma swój wpływ na karierę urzędnika. Sam ombudsman nie wydaje żadnego orzeczenia. Jest on tym czynnikiem, który przez sam fakt interwencji i oceny sprawy w sprawozdaniu powoduje naprawienie krzywdy przez administrację. Instytucje ombudsmana i naszego prokuratora jako strażnika praworządności w zakresie działania administracji powstały z różnych źródeł. W kra-

## ZACHODNIA KARERA ZAMYŚLU LENINOWSKIEGO

EMANUEL ISERZON

powodu wspólnoty interesów urzędników podporządkowanych i ich przelozonych, a skargi sądowe narażają pokrzywdzonych na duże koszty i są załatwiane bardzo „nierychliwie”. Ponadto sądy uchylają się od rozważania kwestii celowości zaatakowanej akcji administracyjnej, gdy krzywda dzieje się z zachowaniem całego majestatu prawa. W tych warunkach sądy nie dają obywatelowi skutecznej obrony przeciwko bezdusznosci lub dobrze zakamuflowanej względami prawnymi złośliwości urzędnika.

W tym stanie rzeczy uwaga publiczna na Zachodzie zatrzymuje się na koncepcji strażnika prawa wybieranego przez parlament, niezawisłego od administracji, wykonującego kontrolę działalności wszystkich organów administracji od najniższych do naczynych i dysponującego środkami operatywnego wymuszania na tych organach przestrzegania prawa. Jako wzór jest rozważany przykład w Szwecji i Finlandii — ich urząd ombudsmana stworzony w Szwecji w 1809 r., a w Finlandii w 1919 r. Dania recypowała instytucję ombudsmana w 1953 r., Norwegia — w 1962 r. Nowa Zelandia stworzyła urząd ombudsmana w tymże roku. Inne kraje zdradzają dziś duże zainteresowanie dla podobnej instytucji. Tak w Anglii, w prasie, nauce i parlamencie omawia się pożyteczność tego rodzaju instytucji. W 1961 r. Sekcja Brytyjska Międzynarodowego Komitetu Prawników ogłosiła sprawozdanie zalecające wprowadzenie powoływane przez parlament ombudsmana. W Kanadzie dyskutuje się tę sprawę. W USA ukazało się szereg artykułów lansujących tę ideę. Latem 1962 r. za sprawą ONZ odbyło się w Sztokholmie seminarium europejskie na temat obrony obywatela przed nadużyciami ze strony administracji. W tym seminarium brały m. in. udział delegacja polska i radziecka. Łącznie z koncepcją ombudsmana była tam wyczerpująco dyskutowana instytucja naszego prokuratora jako strażnika praworządności w administracji i znalazła pozytywną ocenę ze strony wielu uczestników tego seminarium reprezentujących kraje kapitalistyczne.

Wyraz ombudsman oznacza w języku szwedzkim „zastępca”, „pełnomocnik (ombudsmanów) mają w Szwecji związki zawodowe i większe firmy — dla reprezentowania ich interesów”. W 1713 r. król szwedzki Karol XII ustanowił jednego ze swych radców ombudsmanem dla ścigania urzędników naruszających prawo. Na początku XIX w. parlament szwedzki obradując nad konstytucją wyraził życzenie, by obok królewskiego Istniał ombudsman z ramienia parlamentu, jako zastępca parlamentu, dla ścigania królewskich urzędników za naruszenie prawa. Szwedzki ombudsman ma dziś

jach skandynawskich — z dążenia absolutnego monarchy i konkurującego z nim parlamentu do podporządkowania administracji swej woli wyrażonej w aktach normatywnych. W krajach socjalistycznych — z koncepcji Lenina w walce z szeregami się w Kraju Rad w latach dwudziestych nihilizmem prawnym. Ten nihilizm zmierzał do ustanowienia prymatu celowości rewolucyjnej nad normą prawną („Po co jest nam potrzebne regulowanie prawnicze, skoro mamy dobrze uświadomiony sobie interes klasowy i środki techniczne dla urzeczywistnienia tego interesu?”). Według zamysłu Lenina — w warunkach centralnie kierowanej budowy socjalizmu i koniecznej w tej sytuacji dyscypliny prawnej — prokurator, niezależny od wpływów miejscowych organów władzy i administracji państwowej, miał „prawo i obowiązek czynić tylko jedno: dogłębnie prowadzenia rzeczywiście jednolitego pojmowania praworządności w całej Republice, nie zważając na żadne różnice lokalne i wbrew wszystkim wpływom lokalnym...”. Prokurator miał odpowiadać za to, „by żadna decyzja terenowej władzy nie była sprzeczna z prawem” (list Lenina z 1922 r. do Biura Politycznego, znany w wydaniu jego dzieł pod tytułem „O podwójnym podporządkowaniu i praworządności”). Z tego zamysłu powstała i rozwinęła się we wszystkich krajach bloku socjalistycznego instytucja prokuratora kontroli organów administracji znana pod nazwą „nadzoru ogólnego”.

Obie instytucje — ombudsmana i naszego prokuratora jako strażnika praworządności — przy całej odmienności ich pochodzenia i klasowego klimatu, w którym działają, zdradzają podobieństwo: działają szybko, „na gorąco”, nie przeszkadzając administracji — gdyż nie mają żadnych uprawnień do bezpośredniego oddziaływania na przedsięwzięte przez administrację akcje i czynności; cieszą się autorytetem mogącym skutecznie przeciwdziałać, a nawet zapobiegać nadużyciom.

Teoretycy nauk administracji i prawa administracyjnego na Zachodzie nie mogą nie zdawać sobie sprawy z tego, że nie tylko przykład Szwecji i Finlandii, ale również (a może nawet przede wszystkim) przykład krajów socjalistycznych pokazał, że „właśnie w tym kierunku należy szukać w chwili obecnej rozwiązania zagadnienia kontroli administracji uważanej powszechnie za rzecz podstawową; w tym kierunku widzi się zalety prostoty, bezpośredniego kontaktu z masami, klimatu demokratycznego, szybkości, bezpłatności kontroli, autorytetu przywiązanego do osoby kontrolera cieszącego się powszechnym zaufaniem...” (Jerzy Langrod: „W poszukiwaniu nowych form kontroli administracji państwowej”, „Stato Sociale” nr 4 1961, Turyn).

## POLITYKA mikroksiężycowa

STEFAN CHANIEC-CHANACHOWICZ

**P**RZED mniej więcej rokiem przysłał mi na myśl zmienić o mie-

szkaniu telefon z czarnego na biały. Łatwiej oczywiście było pomyśleć, niż myśleć tę realizować. Wymagało to bowiem chodzenia, pisanie, telefonowania, ale w końcu swoje osiągnąłem. Mam biały aparat telefoniczny. Czy się coś w związku z tym w życiu moim zmieniło? Raczej nie. Tak samo jak dawniej, jak za czasów czarnego telefonu, prowadzę tą drogą rozmowy z przyjaciółmi i znajomymi. Podobnie jak dawniej, ktoś omyłkowo nakręca mój numer i długo jeszcze nie wierzy, że nie jestem ani panem doktorem, ani Kaziutkiem. I tak jak to i dawniej bywało — od czasu do czasu z tegoż nowego białego telefonu dzwoni do mnie do redakcji moja córka. Komunikuje, że właśnie wróciła ze szkoły, pyta co robię, na moją odpowiedź, że pracuję, prosi o bliźsze szczegóły, a usłyszawszy, że czytam, woła zdziwionym głosem: i ty to nazywasz pracą? Zupełnie tak samo jak wtedy, gdy miałem czarny telefon. Bo kolor aparatu telefonicznego, a nawet sam rodzaj sprzętu przekątnikowego nie ma najmniejszego choćby wpływu na barwę i tonację rozmów i przekazywanych wieści. Radosne pozostają radosnymi, nudne — nudnymi, ponure — ponurymi. Refleksja ta nawiedziła mnie ostatniego dnia września, kiedy to w prasie codziennej przeczytałem sygnalizację z Waszyngtonu wiadomość następującej treści:

„Sztuczny satelita „Syncom II” ma pomóc wojskom amerykańskim i oddziałom generała Khanh'a w walce z powstańcami południowo-wietnamskimi. Amerykańskie ministerstwo obrony ogłosiło, że mikroksiężyc ten posłużył — tym razem tytułem próby — do przekazania informacji z Sajgonu do USA. Pentagon zamierza uruchomić w 1966 roku własną sieć satelitów łączności”.

Owszem, skłonny jestem uwierzyć, że zaistnienie satelitów łączności udoskonali system przekazywania informacji z Sajgonu do Waszyngtonu. Skłonny jestem w to uwierzyć, bo w ogóle wierzę w cudotwórstwo techniki. Jak tu zresztą nie wierzyć, skoro zakończone właśnie Igrzyska Olimpijskie rozgrywane na stadionach w Tokio! — oglądaliśmy w Polsce na ekranach naszych telewizorów. Podobnie Holendrzy w Holandii, Amerykanie w Stanach Zjednoczonych. Ale jednocześnie mogli się Amerykanie przekonać i o tym, że gdy któryś z ich zawodników przegrywał swoją konkurencję, ani Telstar, ani żadne inne urządzenie nie było w stanie wyniku tego zmienić. Przegrana pozostawała przegraną i ekran telewizora ten przegrany pojedynek wyraźnie pokazywał. Tu cudów nie ma. I również „Syncom II” nie będzie mógł zmienić informacji o wydarzeniach w Wietnamie Południowym, bo przecież nie będzie w stanie zmienić samego biegu tych wydarzeń. A wydarzenia te nie są dla Waszyngtonu pocieszające i pocieszające nie będą. Nigdy.

Zdaje sobie sprawę, iż słowo „nigdy”, którego właśnie użyłem, jest tak bardzo nieelastyczne, że jako publicysta parając się problematyką polityczną powinien tego słowa unikać. A jednak go użyłem, i to z całą świadomością. W tym bowiem konkretnym przypadku, tzn. w odniesieniu do wydarzeń w Wietnamie Południowym, użycie tego słowa nie kryje w sobie najmniejszego nawet ryzyka popełnienia błędu, i co za tym idzie, autorskiej kompromitacji.

O sytuacji w Indochinach, ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji w Wietnamie Południowym pisałem na tych samych łamach 15 czerwca. I co się tam w ciągu tych czterech i pół miesięcy zmieniło? Właściwie nic się nie zmieniło, a jeśli — to na gorzej. Dla zaoceniczników interwencji i ich miejscowych marionetek. Spieszę uspokoić czytelnika, że nie zamierzam tu rekapitulować wszystkich zaszłych tam w tym czasie wydarzeń w ich porządku chronologicznym. To byłoby niepotrzebne i nudne. Nie wiem zresztą, czy dalbym temu radę. Któż to jest w stanie pamiętać, kiedy dokładnie gen. Khanh usunął z fotela prezydenckiego Duong Vanq Minh'a, następcę zamor-

(Dokończenie na str. 10)



# POLITYKA mikroksiężycowa

(Dokończenie ze str. 9)

dowanego Npo Dinh Diema, kiedy sam ustąpił i po kilku dniach odsunął od władzy Oanh, żeby z powrotem przejąć rząd? A czy mogę mieć pewność teraz, kiedy piszę ten artykuł, że w chwili, kiedy dyktował „Kamena” pojawił się w kioskach, gen. Khanh będzie jeszcze przy władzy? A jeśli tak, to jaki będzie nosił tytuł: prezydenta? premiera? a może Cesarza Wsześśajgonu i Rogatek? Albo czy ważne jest np. pamiętać, kiedy dokładnie Maxwell Taylor zrzucił mundur generałski i przydziałowy żakiet dyplomatyczny udał się w charakterze ambasadora USA do Sajgonu?

To co jest istotne, a więc i godne zapamiętania, to fakt, że rady i pouczenia rutyniarza wojskowego Maxwella Taylora (przypomnijmy, że przed wyjazdem do Sajgonu Taylor był szefem połączonych sztabów USA!) udzielane miejscowym marionetkom nie odwróciły losów wojny w Wietnamie Południowym. Ważne i godne podkreślenia jest to, że Stanom Zjednoczonym, oprócz niepowodzeń na frontach wojny wietnamskiej, nie powiódł się również plan nadania tej wojnie charakteru „akcji międzynarodowej”. Z tą wła-

nie misją posłał prezydent Johnson w sierpniu Henry Cabot Lodge'a — b. ambasadora USA w Sajgonie, którego „złusował” właśnie gen. Taylor — do ośmiu zachodnioeuropejskich stolic. Dodajmy, że stolic państw będących członkami NATO, a więc związanych sojuszem ze Stanami Zjednoczonymi. I nic to nie dało. Sojusznicy ani nie dali się wciągnąć do tej wojny, ani nawet nie udzielili dla tej wojny aprobaty. Trudno, widać, o amatorów do stacjonowania na chromym koniu. Szczególnie trudno w obecnej dobie, kiedy kolonializm i jego odmiana w postaci neokolonializmu są pod bardzo ostrym ostrzałem, czego świadkami byliśmy w październiku „dziesiąt kairskiego „szczytu” krajów niezawisłych.

I tak — mijają miesiące, Maxwell Taylor i około 20 tysięcy amerykańskich żołnierzy i speców wojskowych pomagają południowowietnamskiej armii rządowej, tyle tylko, że wojskom rządowym wypada walczyć przechołko coraz bardziej skomplikowanemu przeciwnikowi. Jeszcze wcale niedawno temu wszystko było takie jasne i proste: przeciwnikiem byli powstańcy, tzn. Wietnamczycy uzbrojeni i zorganizowani w oddziały, a terenem walk były wieś, dżungla i drogi prowadzące do miast. Depesze agencji, relacje, raporty, rozwój wydarzeń, podawały ilość zabitych po jednej i po drugiej stronie. Później w doniesieniach z Wietnamu Południowego pojawiło się nowe, dodatkowe określenie: demonstranci. Tym mianem określiła się Wietnamska, którzy setkami i tysiącami wylegają — i to coraz częściej — na ulice miast i manifestując swą

dezaprobatę dla obecnych rządów i — coraz częściej — dla ich zaocennej protektoratu, wysuwają żądania demokratyzacji życia wewnętrznego kraju. Depesze agencji, relacje, raporty, rozwój wydarzeń, zaczęły się dzielić na dwa zasadnicze czynniki: jeden informujący o walkach wojsk rządowych z powstańcami, drugi — o starciach z demonstrantami. Aż tu nagle pojawił się nowy termin: buntownicy. Tym słowem określa się plemiona zamieszkujące górskie okrygi Wietnamu Południowego, a to w związku z niedawnym buntem górali w obozie Bon Sar Pa, prowadzonym i nadzorowanym przez Amerykanów. Co prawda gen. Khanh, który w obliczu antyamerykańskich nastrojów panujących na wsi i w mieście pozoruje czasem „antyamerykańskość”, podkreślił, że między nim a Amerykanami były różnice zdań co do tego, jak należy ustosunkować się do tej rewolty górali. Faktem jednak pozostaje, że przeciwko wojskom rządowym i ich doradcom amerykańskim dziś występują już i powstańcy, i demonstranci, i buntownicy. Przyznaję, że takie dzielenie jest bez sensu, bo przecież wszystkie te trzy elementy wyrastają z jednego pnia, a mianowicie z patriotycznego i demokratycznego ducha walki, ogarniającego cały lud południowowietnamski, ale przytoczyłem te trzy określenia, no bo występują one w doniesieniach agencji i jako takie weszły do słownictwa wojny południowowietnamskiej. Dość przypomnieć, iż w pierwszych dniach października pewna agencja prasowa informowała, że po starciu jakiegoś oddziału rządowego z powstańcami, pozostali przy życiu

żołnierze przeszli na stronę powstańców, aby w ten sposób uniknąć setek tysięcy zabójstw...

A gen. Maxwell Taylor, przebrany za cywila, rezyduje w Sajgonie, i radzi, i poucza. Można zrozumieć, że te kółka amerykańskie, z woli których został tam oddelgowany, nie darzą sympatii — żeby użyć przez nich lansowanego określenia — ani powstańców, ani demonstrantów, ani buntowników połączonych w jedno słowo. Można nawet zrozumieć, że interes i instynkt klasowy, które im ich nienawidzić. Ale przecież nie ja, lecz ich prezydent Lyndon Johnson w przemówieniu wygłoszonym 1 października w John Hopkins University w Baltimore m. in. przyznał, że najgłębszą radą, jaką kiedykolwiek usłyszał, była rada udzielona mu za czasów jego młodości przez pewnego starego adwokata, który mu powiedział:

„Pierwszą rzeczą, jakiej powinien się nauczyć, to fakt, że powiedziałeś komuś, aby poszedł do diabła i spowodować, aby rzeczywiście tam poszedł — to dwie zupełnie różne rzeczy”.

Dotychczas politykę nerealistyczną zwykło się nazywać polityką księżycową. Ale komunikat Pentagonu głoszący, że mikroksiężyc „Syncom II” ma pomóc w walce z powstańcami wietnamskimi, zdaje się wskazywać na potrzebę rozszerzenia naszego słownictwa o nowe określenie: polityka mikroksiężycowa. Jest to nowa odmiana księżycowej. Ale tak samo nerealistyczna.

Stefan Chaniec-Chanachowicz

CZŁOWIEK, który komuś ofiaruje milion złotych, ryzykuje odsłanianie do szpitala psychiatrycznego. No bo jeżeli nawet wśród bliskich znajomych trudno znaleźć takiego, który chciałby pożyczyc marną setkę, to co pomyśleć o takim, który nie tylko daje ale nawet na siłę wciska milion? Ale przecież trudno posłać do psychiatry całą instytucję — cokolwiek pomyślałby się o dyrektorach — mimo że w całym kraju ta instytucja wydała już tych milionów 250, a w województwie lubelskim 13. I to w dodatku na rzecz dla wielu tak podejrzana, jak kulturalna!

Jednak ta niezwykła hojność ze strony „Ruchu”, od roku organizującego swoje kluby książki i prasy, budzi niepotrzebnie wiele podejrzeń, a nawet pretensji. Niedawno byłem na posiedzeniu pewnej autorytatywnej, przynajmniej formalnie, komisji od spraw kultury, gdzie zajmowano się sprawą tych klubów. Gdzieś w połowie dyskusji szepnąłem jednemu z sąsiadów, który również był gościem: gdybym był dyrektorem Herbstem, nakazałbym lubelskiej delegaturze natychmiastową likwidację już istniejących 190 klubów i zakazał pod karą dyscyplinarną zwolnienia tworzenia następnych. No bo ostatecznie nie chodzi o pochwały, chociaż za wydanie tych 13 milionów i nie mała pracę, głównie w godzinach nadliczbowych, za które nikt nie wziął grosza — należy się przynajmniej ciepłe słowo. A tu wszyscy mieli pretensje, wszyscy coś podejrzewali. Dopiero pod koniec sprawa się nieco wyjaśniła. I chociaż podjęto wreszcie kilka decyzji, raczej słusznych, to chyba nikt nie wyszedł z zebrania przekonany do końca.

A tymczasem sprawa wydaje mi się bardzo prosta. Tylko niepotrzebnie ją niektórzy komplikują, pewnie dlatego, że nie mieści się w dotychczasowych schematach myślenia ich działania. No bo jak to jest, że „Ruch”, instytucja przecież handlowa, nagle staje się swego rodzaju mecenasem kultury? Jej pracownicy jeżdżą po całym województwie, wyszukują wolne lokale, wydają pieniądze na ich odnowienie i umeblovanie — przeciętnie 40 tys. na jeden klub, wciągają do współpracy — społecznej — pojedynczych ludzi, często całe kółka organizacji młodzieżowych czy kobiecych, proponują picie kawy i czytanie gazet, kategorycznie zabraniają picia w klubie nie tylko wódki, ale nawet wina i piwa.

To prawda, że „Ruch” wcale nie jest takim bezinteresownym mecenasem. Tyle, że działa mądrze i na daleką metę. Na mocy decyzji najwyższych czynników państwowych otrzymał pokasne środki. Ale nie w formie dotacji, lecz pożyczki. Pożyczka więc w banku pieniądze na urządzenie i wyposażenie klubów — i te pieniądze musi w określonym terminie zwrócić. A jeżeli chce zwrócić — to na całej imprezie musi zarobić. W przeciwnym wypadku nie będzie uruchamiał nowych, a tylko już istniejące zacznie likwidować. Zarabia zaś na tym, że sprzedaje kawę, gazety, mydelka, książki, drob-

ne zabawki, papierosy czy nawet papier toaletowy. Sprzedaje to wszystko w ładnie urządzonym, ciepłym, oświetlonym lokalu, gdzie również można posiedzieć, pogadać, zagrać w szachy czy warcaby, posłuchać radia, zobaczyć program telewizyjny.

Chyba jest rzeczą bezsporną, że już samo istnienie takiego lokalu w pobliżu jakiejś fabryki, w małej osadzie czy jeszcze mniejszej wsi — jest zjawiskiem pozytywnym. Uczy ludzi kulturalniejszego zachowania się, przestrzegania czystości, kupowania artykułów, które bezpośrednio lub pośrednio tworzą część

klubów, nie pozwolono „Ruchowi” na wydawanie pieniędzy na te właśnie cele. Oczywiście nie dlatego, że władze nie doceniają pracy kulturalnej, lecz po prostu dlatego, że aktualne możliwości państwa są, jak wiemy dobrze, ograniczone. Wysilek był i tak bardzo duży — 250 mln zł kredytów. I nadzieja, że na tej bazie już istniejącej organizacje — społeczne, zawodowe, kulturalne, gospodarcze i jakie kto chce jeszcze, że już istniejący etatowy aparat działaczy kulturalnych potrafi dla wspólnej korzyści zorganizować odpowiednie formy pracy. Spotka-

realną pomocą finansową — istnieje poważne niebezpieczeństwo, że trzeba będzie poszczególnie kluby zamykać. Jest to dla wielu zainteresowanych tajemnicą poliszynela, nikt jednak nie chce tego głośno powiedzieć, a co gorsza — temu przeciwdziałać. A chodzi nie tylko o rok bieżący. Do stycznia mamy już mieć w województwie lubelskim 250 klubów. Wydatki na opał, światło i utrzymanie czystości oraz czynsze wyniosą w przyszłym roku ok. 3.800 tys. złotych. Projekty budżetów GRN na rok przyszły są już gotowe — ale sumy tej nikt nie przewidział. Po prostu dlatego, że nikt dotychczas, poza samym „Ruchem”, poważnie jego kluby nie interesował się. Nie ma tylu pieniędzy nawet w budżecie Wydziału Kultury Prezydium WRN. Całe szczęście, że do ostatecznego uchwalenia budżetów pozostało jeszcze kilka tygodni. Tylko znowu: kto się tym na serio i do końca zajmie?

Istnieją także spory innej natury. Pracownicy kultury powiadają: niech „Ruch” zakłada kluby w tych miejscowościach, które w dziedzinie kulturalnej stanowią jeszcze białe plamy. „Ruch” odpowiada: będziemy tworzyć kluby tam, gdzie znajdziemy odpowiednie lokale, które jednocześnie zapewnią nam zwrot poniesionych nakładów oraz taki dochód ze sprzedaży, abyśmy mogli zapewnić utrzymanie ich kierownikom. Każdy ma tu swoją rację, ale to nie znaczy, aby identyfikowały się one w tej samej miejscowości. W dodatku ładne i nowoczesne wyposażenie klubów jest na tyle atrakcyjne, że w terenie chętnie zgadzają się na to, aby umierać czy na pół umierać świetlicę zamiennie na klub. Pracownicy kultury bronią się przed tym i z samej zasady i także dlatego, że im sprawozdania znikają jedna podległa im placówka. Zjawisko niby złe, ale ostatecznie ładne, a raczej urzędnicze. W każdym razie na tyle konfliktowe, aby znowu wywołać pretensje czy żale.

Można by tu jeszcze dość długo wyliczać różne drzazgi, kolce i haczyki, rwać młode i wątłe jeszcze, a przecież tak obiecujące twory, jak kluby książki i prasy „Ruchu”. Można ubolewać nad tym, że wśród 190 ich pracowników, aż 156 ma tylko wykształcenie podstawowe, a jednocześnie cieszyć się z 88 radioadapterów, 52 telewizorów i 32 adapterów, przy których codziennie gromadzi się kilka tysięcy ludzi. Można przyszykować plan „Ruchu”, otwarcia 80 dalszych klubów, uważać za zbyt skromny, można cieszyć się, że — jeżeli będą odpowiednio lokale — plan ten da się podwoić. Trzeba widzieć pracę społeczną wielu ludzi, zwłaszcza młodzieży — jak np. w Białym (powiat lubelski), dokąd przez wielkie zasypanie śniegu ciągniono z trudem całe wyposażenie, albo entuzjazm Piotra Przerwy, młodego kierownika szkoły w Łózkach (powiat radzyński), który swoim przykładem porwał wszystkie tamtejsze organizacje, albo jeszcze Kolo Gospodyn Wielejskich w Woli Osowińskiej (też powiat radzyński), które

## Podejrzany fundator?

JERZY DOSTATNI

tego, co nazywamy kulturą. Chyba porównanie z wiejską gospodą, gdzie wódki i cudzych zębów do wybiela nigdy nie zabraknie, albo ze świetlicą, w której jakże często organizuje się tylko zabawy taneczne „z dobrze zaopatrzonym bufetem” — jest całkiem jednoznaczne.

Pierwsze i najczęściej występujące nieporozumienia zaczynają się wtedy, gdy trzeba zdecydować o wyborze kierownika czy kierowniczk klubów. Jak to zwykle bywa w terenie — protęgowanych dużo, a stanowisko tylko jedno. Osobiście nie dziwię się „Ruchowi”, że decyduje się przede wszystkim na taką osobę, która umie zaparzyć i podać kawę, sprzedać inne towary i prawidłowo rozliczyć się z zaopatrzeniem. Kierownicy za pracę kulturalną, jeżeli ją prowadzą, nie dostają nic, a za sprzedane towary 10 procent prowizji. Sumy to wcale niebagatelne — przeciętnie półtora tysiąca zł, w niektórych wypadkach nawet do 3 tysięcy zł miesięcznie. Jedną z kierowniczek, entuzjastką pracy kulturalnej, osiągnęła w tej dziedzinie ładne wyniki — ale jednocześnie manko w bufcie, którego nie miała czasu pilnować, było pokasne. Nikt nie podejrzewał jej o defraudację, ale co robić dalej? Zawiadomić prokuratora? Zadołować się zwrotem manka? Zwolnić dobrać pracowniczkę kulturalną, a złą eks-pedientkę? I tak źle, i tak gorzej...

Tak czy inaczej jest piękna baza materialna — 190 klubów. Ale nawet w zapadłych wsiach, gdzie większość z nich powstała, kawa i gazeta tylko do czasu będą atrakcyjną nowością. Jeżeli w klubach nie będzie się nie działa, jeśli staną się one tylko ośrodkami biertnej konsumpcji kultury, ograniczonej do kilku zaledwie form — grozi im takie czy inne wynaturzenie, a potem likwidacja. Ale kto ma prowadzić ową działalność merytoryczną, kulturalną? I czy praca społeczna wypełni wszystkie potrzeby? A jeżeli nie — kto ma dać pieniądze i ile?

I tu mamy drugi punkt zapalny nieporozumień. Na mocy tych samych decyzji, które zezwoliły na tworzenie

nia z ciekawymi ludźmi, kluby żywego słowa, występy kameralne, kursy dla rolników czy kobiet, prelekcje TWP — możliwości wiele.

Kto ma się tym zajmować? Formalnie — rady klubów. W rzeczywistości ZMW, ZMS, Liga Kobiet, kółka rolnicze, gminne spółdzielnie, PGR, POM, gromadzkie rady narodowe, fabryki i spółdzielnie, pracujące w sąsiedztwie klubów. Społeczne rady klubów powinny skupić przedstawicieli tych, a także innych jeszcze, organizacji i instytucji. Ale oprócz osobistych zainteresowań ludzi, chodzi także o to, aby byli oni rzeczywiście przedstawicielami swoich jednostek, aby mogli i mieli obowiązek nie tylko wymagać, ale i pomagać. Pracą społeczną i środkami bardziej materialnymi. Na zakup telewizora, czy radia, na opłacenie szczególnie atrakcyjnego prelegenta, na organizację określonego kursu itd. Tymczasem w praktyce różnie, bardzo różnie z tym bywa. Jeden z najbogatszych partnerów, gminne spółdzielnie, jak dotychczas tylko w wyjątkowych wypadkach dostrzegają istnienie klubów „Ruchu”. Czyżby dlatego, że spada konsumpcja alkoholu w gospodach tych spółdzielni? Aż myśl się wzdraga przed takim podejrzeniem!

Coraz większe kłopoty są z gromadzkimi radami narodowymi. Zgodnie z decyzjami władz rządowych, jak i zawierania przy otwarciu każdego klubu porozumieniem z „Ruchem” — GRN jest obowiązana do opłacania czynszu oraz światła i opalu. To ostatnie jest szczególnie aktualne teraz. A tymczasem w bardzo wielu radach kultura nie od dzisiaj padła pierwszą, a często jedyną ofiarą cięć budżetowych. Bywa też, że z chwilą zamiany martwej dotąd świetlicy gromadzkiej na ożywiającą się z każdym dniem klub, GRN czuje się zwolniona z dotychczasowych obowiązków, ale o podjęciu nowych nawet nie chce słyszeć. Sytuacja jest w tej chwili bardzo poważna i jeżeli Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej nie wyzyska swego autorytetu celem wywarcia odpowiedniego nacisku, a w niektórych wypadkach nie przyjdzie z



## Konkurs na opowiadanie i reportaż literacki

Z okazji XX-lecia PRL i XX rocznicy wyzwolenia Ziemi Lubuskiej, Wydział Kultury PWRN w Zielonej Górze, Lubuskie Towarzystwo Kultury, Zarząd Oddziału ZLP, pod patronatem WK FJN ogłaszają konkurs na opowiadanie i reportaż literacki związany tematycznie z problematyką minionego XX-lecia na ziemiach nadodrzańskich.

Konkurs ma charakter otwarty, mogą w nim uczestniczyć również osoby nie należące do ZLP. Ilość prac jednego autora dowolna. Objętość prac nie powinna przekraczać 10-12 stron znormalizowanego maszynopisu.

Prace opatrzone godłem, do których należy załączyć w osobnej kopercie imię, nazwisko i adres autora, w ilości trzech egzemplarzy maszynopisu, należy przesłać do dnia 1 marca 1965 roku na adres Zarządu Oddziału ZLP w Zielonej Górze, Al. Niepodległości 25, zaznaczając „Konkurs na opowiadanie”, „Konkurs na reportaż”. Ogłoszenie wyników nastąpi w maju 1965 roku.

Skład jury zostanie podany w późniejszym terminie.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody:

za opowiadanie:

I — 6.000 zł

II — 4.000 zł

III — 3.000 zł

oraz dwa wyróżnienia po 2.000 zł

za reportaż literacki:

I — 6.000 zł

II — 4.000 zł

III — 3.000 zł

oraz dwa wyróżnienia po 2.000 zł

Jury zastrzega sobie prawo do innego podziału nagród.

Prace nagrodzone i wyróżnione będą opublikowane w „Nadodrzu” oraz na antenie zielonogórskiej rozgłośni Polskiego Radia i oddzielnie honorowane według przyjętych stawek.

(Dokończenie ze str. 10)

nie ustalo w walce z męskimi przedstawicielami władzy, aż wiejskiej knajpy nie zamieniono na klub. Nie zaskodzi także przypięcie dużej luty GRN w Wojcieszowie pod Bełżycami, która uparcie i wbrew umowie nie płaciła czynszu — aż prywatny właściciel lokalu po prostu całe wyposażenie klubu wystawił na świeże powietrze.

Cokolwiek jednak powiemy dobrego czy złego, jedno jest niewątpliwe: kluby „Ruchu” są inicjatywą niezmiernie pożyteczną, stanowią wielką, może nawet jeszcze nie ilościowo, ale gatunkowo, największą szansę upowszechniania kultury na wsi. Jak dotychczas nie bardzo umieliśmy wykorzystać tę szansę. Nie zamierzam tu toczyć sporu, kto jest winien mniej czy więcej, kto popełnił taki czy inny błąd, kto do kogo powinien był przyjść pierwszy. Myślę, że tego rodzaju sporów warto, a nawet trzeba, co rychlej zaprzestać. Oprócz zadowolenia własnej ambicji kilku osób, przyniosą one poważne straty samej sprawie.

Na naradzie, o której wspominałem na początku, postanowiono m. in., że do końca października Wojewódzki Dom Kultury opracuje program działalności merytorycznej klubów „Ruchu”. Zgodzono się także, że nie będzie tu wyjątków od realizowanej, nie bez kłopotów zresztą, zasady: powiat pełnoprawnym i samodzielnym gospodarzem u siebie, także w dziedzinie kultury. A więc, że w konsekwencji kluby będą działać w ramach i kierunkach określonych przez powiatowe domy kultury i wydziały kultury rad terenowych. I że organizacje działające w terenie włączają się znacznie bardziej niż dotychczas do pracy klubów. Osobiście żałuję tylko, że nie zaproszono na naradę przedstawiciela Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni. W wyniku czego ta najbogatsza na wsi organizacja pozostaje, jak dotychczas, na boku, sama nie kwapiąc się ani z wkładem, ani z osiaganiem własnych korzyści. I nie mogę zgodzić się z ostatnim wnioskiem: że sprawa zdobycia środków na utrzymanie klubów — przez budżety GRN — pozostaje sprawą nadal otwartą. Uważam, że właśnie ją należy co prędzej — i to pozytywnie — rozwiązać.

To wszystko wymaga, jak słusznie powiedziała dyrektorka WDK p. Szczepowska, dużej integracji wszystkich działających w terenie organizacji oraz kultury współdziałania. I właśnie w braku ich leżą dotychczasowe niedomaganie, w osiągnięciu tego — nadzieja na przyszłość. „Ruch” nie jest podejrzanym fundatorem. Myśląc o własnych w dalszej przyszłości korzyściach — wkłada dużo pracy i pieniędzy w stworzenie bazy materialnej. Do działaczy kulturalnych należy jej szybko i pełne wykorzystanie.

Jerzy Dostatni

## W 170 rocznicę prapremiery

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

**T**YLE to już lat minęło od wystawienia po raz pierwszy „Kra-kowiaków i Górali” przez Wojciecha Bogusławskiego. Dzieło doczekało się licznych przeróbek, właściwie została sama kanwa uzupełniana aktualnymi: wielokrotnie sprawdzane na scenie zdobyło sobie trwałą pozycję w klasycznym repertuarze narodowym. A dzieje sceniczne „Cudu mniemanego” są tak obfite w anegdoty i sensacyjne wydarzenia, iż historykowi teatru starczyłoby materiału na napisanie dobrej książki.

Najbardziej wyraziście uprzytomni rangę sztuki przytoczenie faktów związanych z jej wystawieniem w Lublinie w r. 1862. Do tego celu niech nam posłuży „Wstęp” do wydania sztuki w Bibliotece Narodowej.

Dyrektorem był Paweł Ratajewicz, w roli Basi występowała Barbara Bobrowska, ulubienica publiczności. Czytając passus z pamiętnika aktora Stanisława Krzesińskiego przekonamy się, że poprzedniczka Felicji Jagodzińskiej nie miała zbyt łatwego życia. A oto co pisze pamiętnikarz:

„Panna Bobrowska śpiewała vaudeville patriotyczne, które wielkiego narobiły hałasu, lecz za to ją i dyrektora przywołano do komendanta i nie pozwolili powtórzyć tej sztuki, i mój egzemplarz skonfiskowano”.

W kilka miesięcy potem, jak podają St. Dąbrowski i S. Straus, po przedstawieniu „Cudu mniemanego” zarządca żądała ocenzurowanego egzemplarza i Bobrowska musiała pokryjomu wyjechać z Lublina, dyrektor zapłacił karę 10 rubli i dopiero w cztery lata później sztukę wystawiono znowu w Lublinie.

Obecnie wszelkie aluzje zawarte w tekście, które dawniej były przyczyną wielu cięć cenzorskich, straciły swoją aktualność.

Dowodem na prawdziwość tego twierdzenia jest fakt, że po raz pierwszy (jak twierdzi Jacek Frühling) wystawiono komediooperę Bogusławskiego w teatrze muzycznym, który przecież służył bardziej zabawnym celom niż walka o wyzwolenie narodu.

Dzisiaj „Kra-kowiacy i Górale” są przede wszystkim kapitalną okazją, jedną z nielicznych, do pokazania piękna polskiego folkloru — pieśni, tańca, stroju i mowy. Także pikantna, dowcip i dobroduszny moralizm całej historii, w odpowiedni sposób podane, stanowią o wartości i powodzeniu tej komedioopery. Nie można również zapominać o tym, co wnosi muzyka Stefanierego i Kurpińskiego.

Sławną inscenizację Bronisława Dąbrowskiego, którą możemy oglądać w Lublinie, wydobywa ze scenariusza właśnie te walory. Zwraca uwagę jednolitość i czystość jej stylu, ogarniająca bezwzględnie wszystkie elementy przedstawienia. Styl ten bardzo adekwatnie wyraża wewnętrzny stosu-



„Kra-kowiacy i Górale” Wojciecha Bogusławskiego na scenie Państwowej Operetki w Lublinie

nek Dąbrowskiego do rzeczywistości inscenizowanej. „Przymrużenie oka” wyzwala chyba maksimum humoru istniejącego w tekście.

Adam Kilian okazał się świetnym partnerem, wcielającym koncepcję inscenizatora w barwę i kształt. Jego scenografia idzie drogą zapoczątkowaną w r. 1928 przez Mieczysława Różańskiego, który już wtedy (jeszcze raz powołajmy się na Wstęp Dąbrowskiego i Strausa), opracowując stronę plastyczną do wystawienia „Kra-kowiaków i Górali” przez Z. Nowakowskiego pokazał wycinanki i charakterystyczne peruki upodabniające postaci do kukieł.

Kilian w swoich projektach wyzyskał wyobraźnię ludu i wyobraźnię dziecka. Stąd te wspaniałe konie na kółkach zaprzężone do malowanych wózków. Przecież to — zabawki dla dzieci, jakich pełno na każdym większym targu, czy odpuszcisku.

Dobre stroje oraz pomysłów, bezpretensjonalna choreografia Henryka Dudy często stwarzały wrażenie, że muzyce towarzyszy na scenie drugi koncert rozpisany na kolorowe, wirujące spódnice dziewcząt i ciemniejsze ubiory chłopców.

Zasługą reżyserów Henryka Dudy i Leona Langerę jest sprawny i szybki tok przedstawienia, odbiega od tego początkowa ekspozycja, która rozwija się zbyt powoli.

Orkiestra, dyrygowana na zmianę przez M. Kowalskiego i M. Lewandowskiego, jest dobrze zsynchronizowana z tym, co się dzieje na scenie, i nie zgłasza śpiewaków.

Wielki sukces, bo o takim już można mówić, „Kra-kowiacy i Górale” zawdzięczać dobrej grze prawie całej obsady aktorskiej.

Najefektniej wypadła Basia w wykonaniu Felicji Jagodzińskiej. Stworzenie tej pełnej humoru roli umożliwiły takie walory jak wdzięk, dobre rzemiosło aktorskie,

głos, pełny rysunek postaci dopracowany w szczegółach.

Podobał się Jerzy Michotek w roli studenta Bardosa, usiłujący przede wszystkim nawiązać bliski kontakt z publicznością, sporo było w tym estradowej kokieterii.

Milą niespodzianką zrobiła Barbara Kostrzewska. Miłośnicy opery i operetki, przywykli oglądać ją w rolach wielkich dam, zaskoczeni zostali pikantną, świetnie władającą gwara postacią Doroty, tej, która miała męża za starego. Takie przedstawienie jest najlepszym miernikiem aktorstwa. Dziwne, że Kostrzewska tak rzadko widzimy na scenie. Nowe kierownictwo Operetki powinno błęd ten naprawić, pierwszy krok został już zrobiony. Nie można aktorki w pełni talentu pozbawiać sceny, tym bardziej, że natłoku gwiazd aktorskich w Lublinie nie ma.

Henryk Łabuński jako organista Miechodmucha z powodzeniem bawił publiczność, sięgając do prostych, ale niezawodnych środków farsowych.

Górale zrobili o wiele lepsze wrażenie od Kra-kowiaków, lepiej śpiewali w chórze, lepiej grali. Zaznaczył się wpływ komedii dell'arte. Leon Langer z roli odtrąconego Bryndasa stworzył komiczną w wielu momentach postać ludowego samochwala. Morgal Mariana Josicza to typowy góralski zabijaka, zagrany z dużą werwą. Komiczną postacią był Tadeusz Rossowiecki w roli Kwiczolasa, ludowego mędrka, przeczery.

Nieporozumieniem okazała się rola Stacha zagrana przez Jerzego Molendę, postaci tej brakowało autentyczności i wdzięku.

Reszta aktorów zagrała na dobrym, wyrównanym poziomie.

„Kra-kowiacy i Górale” są bez wątpienia największym osiągnięciem lubelskiej Operetki, co szczęśliwie się zbiegło z lipcową rocznicą.

## R Z E C Z o gospodarzach

(Dokończenie ze str. 8)

powiatowy dom kulturalny latem br. przyniósł się ze swą działalnością klubową do ośrodka wypoczynkowego nad pobliskim jeziorem, bo właśnie tam było rajno i gwarno, tam ludzie odpoczywając potrzebowali kulturalnej rozrywki. We Wrześni, gdzie prezesem miejscowego stowarzyszenia kulturalnego jest I sekretarz KP PZPR, zrobiono bardzo wiele. W mieście tym powiedziano mi tak: „Znalazł się ktoś, kto stanął ponad partykularnymi rozgrywkami różnych instytucji i zakładów pracy, opornie poddających się koordynacji środków na cele kulturalne. Dlatego mamy ten piękny klub. Zbudowali go pospół wszyscy”.

Sprawa nie kończy się oczywiście na klubie. Najważniejsze jest to, że w powiecie wrześnińskim sprawy kultury są traktowane jako pierwszoplanowe. Ażby tak mogło się stać, autorytetu swego użył kierownik polityczny powiatu. Dobry to przykład dla innych. Również w tymże samym województwie poznańskim. Ale oczywiście także i w innych częściach Polski. Warto na tym miejscu np. ujawnić kłopoty

niektórych powiatowych działaczy w części województwa kieleckiego i białostockiego. Rozmawiałem tam z gospodarzami i z niepokojem stwierdziłem, że cały kraj zagadnień kulturalnych traktują zgola jako zabawę i hobby. „Niech się bawią” — powiadają. — Nawet są aktywni. My im nie przeszkadzamy”.

Odpowiedź taką mógłbym traktować jako śmieszna, gdyby konsekwencje takich właśnie odpowiedzi nie były groźne. A są. W rezultacie „nieprzeszkadzania”, niektórzy kierownicy powiatowych domów kultury na Białostockie — nie mogąc od lat otrzymać godziwego kąta, opuszczają swoje miasteczka i wyjeżdżają tam, gdzie mają szansę na otrzymanie mieszkania. Ale już nie jako pracownicy kultury.

Kompletnego niezrozumienia politycznej wagi przedsięwzięcia dowiedli gospodarze pewnego centralnie położonego województwa, gdy uniemożliwili tamtejszym działaczom kulturalnym zwolnienie regionalnej sesji poświęconej upamiętnieniu rocznicy pewnego wielkiego nie żyjącego już pisarza, rodem z tego właśnie regionu.

Rysują się więc dość różne postawy naszych terenowych gospodarzy wobec zagadnień kultury. Przytaczając większość tych ludzi rozumie dosko-

nale swoją rolę w tej dziedzinie naszego narodowego życia i w miarę swych sił i uzdolnień pomaga społecznemu ruchowi kulturalnemu i ogółowi działaczy w ich codziennej trudnej i odpowiedzialnej pracy. Większość gospodarzy wie, że kompetencje działaczy kulturalnych są ograniczone, nie wystarczą dla załatwienia wielu spraw, bez których proces upowszechniania kultury byłby bardzo utrudniony. Pod tym względem zmieniło się u nas w ostatnim ośmioletniu co niemiarą. Tak dalece że nie sprawdzają się już nawet stare teorie o niebezpieczeństwie zbiurokratyzowania społecznego ruchu kulturalnego, gdy na jego czele stoją urzędnicy. Rzecz bowiem w tym, że owi urzędnicy są dziś działaczami z prawdziwego zdarzenia.

I właśnie tym bardziej niekorzystnie odbijają się na ich cie ci, którzy zachowują się ciągle i ciągle niczym ów bohater starej noweli, który — zapytany, czy lubi kwiaty odpowiadał niezmiennie: „Ja bardzo kocham kwiaty, tylko nie lubię ich wachać. Nie przynosić mi kwiatów do mojego pokoju”. Był to człowiek dość znaczny, wystarczył więc taki wyrok, by skazano kwiaty na nieobecność w całym mieście.

A było to w porze kwitnienia.

Bolesław Bartoszewicz





Rok bieżący dostarczył wielu okazji do świętowania różnych rocznic i jubileusów. Niektóre z nich są nam z wielu powodów szczególnie bliskie: setna rocznica urodzin Stefana Żeromskiego oraz 25 rocznica śmierci Józefa Czechowicza. Obecny rok obwołał został rokiem autora „Popiołów” i do tej pory wydał on już swoje owoce w postaci paru książek i licznych artykułów; sporo pozycji zostało jeszcze zapowiedzianych.

Wyjątkowość pozycji Żeromskiego w polskiej literaturze sprawia, że śledzimy z uwagą rocznicowe wystąpienia, próbując weryfikować głoszone nie tak dawno sądy o cofaniu się jego wpływów pośród czytelników, a co za tym idzie — o przeżywaniu się niektórych wartości jego pisarstwa. Istotą obecnego sporu o Żeromskiego przedstawiają dwa artykuły ustawione wobec siebie polemicznie. W **Przeglądzie Humanistycznym** J. Z. Jakubowski zamieszcza artykuł „Żeromski w stulecie urodzin 1864–1964”. Po obrachunku z sądami dawnej krytyki o Żeromskim, a zwłaszcza Brzozowskiego, autor zastanawia się nad wartościami żywymi dziś i aktualnymi w dziele Żeromskiego. Zwraca przede wszystkim uwagę na „Dzienniki” posuwając się do ocen dość krańcowych i ryzykownych, jak ta:

„Nie deprecjonując wielu cennych dzieł stworzonych przez współczesnych pisarzy trzeba wszakże — w perspektywie historii polskiej literatury — stwierdzić, iż było to najdonioślejsze wydarzenie literackie w prozie od czasów ukazania się „Przedwiośnia”.

Dla Jakubowskiego wielkość Żeromskiego jest nie tylko wartością historyczną, jego dzieło — wbrew innym powojennym ocenom — przemawia dziś do nas wartościami żywymi. Dla autora Żeromski to w istocie „pisarz polskiej racji stanu”. Wyrażało się to choćby w „Wietrze od morza”, który świadczył o mądrym instynkcie

narodowym Żeromskiego. Zamykając swoje wywody Jakubowski pisze:

„Nowemu kształtującemu się narodowi socjalistycznemu, jego nowym aspiracjom historycznym, społecznym, patriotycznym, to dzieło jest naprawdę bliskie, co więcej, zawsze była to twórczość rzetelnie zespółona z autentycznymi tęsknotami i dążeniami narodu”.

Z większością tez i opinii Jakubowskiego polemizuje w **Nowych Drogach** w artykule „O twórczości Żeromskiego — rozważania rocznicowe” H. Markiewicz. Odrzuca on formułę „pisarz polskiej racji stanu”, ponieważ określenie to „oznaczało (i oznacza) przede wszystkim pogwałcenie zasad prawa czy moralności, uzasadnione interesem politycznym”. Nieśluszenie też wydaje się autorowi podnoszenie trylogii morskiej i publicystyki społecznej Żeromskiego, jak też wynoszenie wysoko „Dzienników” kosztem prozy powieściowej. Te próby aktualizujących przewartościściwań nie wydają się autorowi płodne. W czym więc widzi Markiewicz istotę sprawy Żeromskiego, widzianej z perspektywy?

„Patrząc na Żeromskiego z perspektywy historycznej dostrzegamy coraz lepiej, jak bardzo górował on nad współczesnymi zarówno rozległością krajoznawstwa społecznego zawartego w jego dziełach, jak i napięciem uczuciowym wobec zachodzących w nim przemian. Był pisarzem radykalnym — sięgał do korzeni, do spraw najbardziej podstawowych. Ukazywał je w dramatycznym napięciu konfliktów, w konsekwencjach ostatecznych, w przełajach uczuciowych przebiegających w najwyższym natężeniu gwałtowności. Tragedia niewoli narodowej, krzywda społeczna, sytuacja konfliktowa między obowiązkiem walki a prawem do szczęścia osobistego — oto krag spraw, do których powracał”.

Rzeczywistość społeczno-obyczajowa Polski dawnej utrwalała się w wyobraźni Żeromskiego. Stał się „organizatorem wyobraźni narodu”. Stał się jej organizatorem i przez to, że był burzycielem starych i twórcą nowych form literackich. Dokonał odnowienia prozy artystycznej na różnych płaszczyznach. M. In.

„Żywa Żeromski z wyraźnym jednoznacznym konturem charakterów, ich niezmiennością lub ciągłą i umotywowaną ewolucją; człowiek stał się u niego niekiedy serią niespodzianek, nagłych wyborów dokonujących wobec wytworzonej sytuacji. Śiega w sferę snu i podświadomości, walcząc o językowy równowagę dla aktów psychicznych, „beziemiennych”, z trudnością kontrolowanych i uświadamianych pojęć, dla drobnych drgań uczucia, dla „myśli bez związku, własnych, niepodzielnych, niezmiennie stojących postrzeżeń, z których się zwierzyć człowiek nie jest w możności”.

Historyczna doniołość pisarstwa Żeromskiego jest bezsporna: tory główne powieści polskiej dwudziestego

wieku zapoczątkowane zostały wysiłkiem Żeromskiego. A zwróceniem tym jest pewien model bohatera:

„bohater pozytywny pod różnymi imionami powracający w tyłu utworach, człowiek bezdomny z wyboru, bo ponad wszelkie domowe stawił się swój obowiązek wobec sprawy ogólnej — kreacja niezwykła, niejednokrotnie krytykowana i ośmieszana nawet, a jednak nieodparcie sugestywna, kreacja, dla której trudno znaleźć analogie w innych literaturach i która w tyłu wcieleniach odradza się w twórczości późniejszych polskich pisarzy”.

Rocznica Józefa Czechowicza przeszła natomiast ledwie w prasie zaawanszona (**Kultura i Tygodnik Powszechny**). Temu poecie poświęca także trochę uwagi **Twórczość** w artykule Jana Śpiewaka — „Józef Czechowicz (w dwudziestopięcioletniej śmierci poety)”. Rozważania autora idą torem raczej znanym, choć dokonuje on przy okazji istotnych poprawek w swoich dawniejszych opiniach. Zwraca Śpiewak uwagę na autobiograficzny charakter twórczości Czechowicza, dlatego brak biografii poety utrudnia zrozumienie wielu jego wierszy.

„Poecie przeważnie kształtując młodzież. Nawet najbliżsi przyjaciele Czechowicza nie o jego młodości, z wyjątkiem kilku faktów, nie mogą powiedzieć. Sam Czechowicz w późniejszych latach skąpo, wyjątkowo skąpo, mówił o dzieciństwie. Co wpłynęło na wizyjność jego utworów, z czego czerpała soki jego własna wizyjność? Smutne dziedzictwo po ojcu nie może wszystkiego wyjaśnić. Skąd takie odczuwanie przyrody, zapachów ziemi, wrażliwość na barwy, których może lekał się, dlatego odsuwał je od siebie, przemieniał.

Może więc owe barwy” ziemi wywodzi się ze wspomnień jeszcze młodszych dzieł, a którym my nie nie wiemy”.

Podjęmuje też Śpiewak polemikę z krytykami, którzy dostrzegają u Czechowicza żywotność tradycji symbolistycznej. Nie oznacza to, że mianują oni Czechowicza symbolistą, jak sądzi Śpiewak. W niniejszym przeglądzie nie ma miejsca na polemikę, choć sprawa godna jest dyskusji bardziej szczegółowej.

Podjęmuje także Śpiewak sprawę, która i w „Kamieniu” była kiedyś podniesiona — spuścizny Czechowicza. Pięsz autor:

„Dokonałem pamiętam rozkład mieszkania Czechowicza na Narbutta. W głównym pokoju stała niedużego formatu zamknięta szafka, w której trzymał ulubione książki, a przede wszystkim bruliony o twardej okładkach, w których systematycznie zapisywał wiersze, notatki, myśli, szkice, plany do wierszy, tam były wiewione fotografie, tam zamieszczał plany przyszłych książek, było trzydzieści kilka. Stanowiłyby one dla krytyka materiał badawczy niezmierznie cenny, ukazujący poszukiwania poety, nie zawsze później zrealizowane. Znajomość dwu nawet takich kaset, które po wojnie miałem w rękę, jest bardzo pouczająca. Chcę wierzyć, że odnajdą się wszystkie kasety, że istnieją i oddane zostaną społeczeństwu jako dobro ogólne”.

Pod zdaniem ostatnim możemy się śmiało podpisać wyrażając przekonanie, że najlepszym miejscem dla rekwizytów poety byłoby przyszłe muzeum Czechowicza.

T. K.

## BAEDEKER LITERACKI

**TADEUSZ BOROWSKI: WYBÓR OPOWIADAŃ**

PIW 1964

Wznowienie przez Bibliotekę Powszechną opowiadań Borowskiego w dużym wyborze powitać należy z uznaniem. Prawie, że klasyczny swego czasu „Pogranicze z Marią” (otwierające niniejszy wybór) i inne opowiadania przypominają sobie warto właśnie teraz, w dwudziestą piątą rocznicę początku wojny. Noweliści Borowskiego jest niestety, księga zamknięta — tym więcej trzeba ją cenić.

**MARIAN PROMIŃSKI: OPOWIEŚCI I OPOWIADANIA**

Wydawn. Literackie 1964

Są to przeważnie przedruki ze zbiorów: „Atrament i krew”, „Igraszki z klepsydry”, „Początek lotniczy” i „Salamandra” — uzupełnione opowiadaniem dotąd nie drukowanym. Podsumowanie krótkich form z dorobku Promińskiego w postaci wyboru było już od dawna pożądane. Autor jest jednym z mistrzów współczesnej polskiej noweliści o specyficznym posmaku filozoficzno-psychologicznym. Przedstawia w swoich utworach zagadnienia żywo obchodzące współczesnych. Rysuje powstające sprzeczności, przeciwstawiając często odmienne stanowiska swoich postaci. Egzysty i rodzinność w specyficznym sposobie przenikają się w opowiadaniach Promińskiego, wytworząc właściwy jego utworom swoisty klimat.

**TADEUSZ ŁOPELEWSKI: KRÓTKIE ZYCIE MOCHNAKOWA**

NASZA KSIĘGARNIA 1964

**W** DOROBKU pisarstwa Tadeusza Łopalewskiego powieść historyczna nie stanowi co prawda większości, nie jest jednak wypadkiem osobnoistym. Wystarczy choćby przypomnieć wydaną przez „Czytelnik” w r. 1962 książkę pt. „KADUK CZYLI WIELKA NIEMOC”. Jest to utwór co się zowie dobrze zrobiony, napisany poprawnie i ze znaczną wnikliwością źródłową (zdarzenia są niedoścignione, jak np. pewne braki i nieścisłości w przedstawieniu postaci Marcina Matuszewicza, świetnego pamiętnikarza i panegirysty), którymi są diariusze i zbiory listów z połowy wieku XVIII.

To samo można powiedzieć o „Mochnałku”. Postać tytułowa przedstawia Łopalewski sugestywnie, epokę nakreślił szkieletowo, lecz na ogół trafnie. Książkę wydała firma specjalizująca się w literaturze młodzieżowej, nie znaczy to jednak (przynajmniej w tym wypadku), że należy ona do literatury minorum gentium. „Mochnałki” to powieść, którą młodzież może czytać, ale również dobrze mogą to robić i ludzie powyżej lat 18.

Powieść historyczna znajduje się dziś na swoistym rozdrożu. Z jednej strony usiłuje się ją (czasem skutecznie) zepchnąć do poziomu beletryzowanych podziurów, z drugiej znowu dążyć do rozmiarów historycznej antypowieści. Prawda chadza — jak zwykle — po środku, ale co dla literatów niebezpieczne, środek ten coraz częściej zaczyna być zajmowany przez historyków, którzy „opowieści”, w których mniej (choć czasem też niemało) opowieści i dialogów, ale żywa treść pasjonuje zawsze.

Uwagi powyższe sprowokowała wydana kilka miesięcy przed powieścią Łopalewskiego (po raz drugi zresztą) „Opowieść o Mochnałku” Jerzego Szackiego (III-ISTORIA JEDYNIEGO ROMANSU, WIEDZA POWSZ. 1964).

Porównując obie książki zauważyć trzeba trzy różnice „zewnetrzne”: 1. „Szacki” ilustrowany jest rycinami antenowymi, z epoki — „Łopalewski” ozdobiony rysunkami M. Majewskiego. 2. „Szacki” uzupełniony jest wykazem literatury ad usum czytelnika — „Łopalewski” — nie. 3. Szacki legitymuje się przypisami, Łopalewski nie. Powie ktoś, że to zarzut bezdurny i powierzchowny; nie wiem jednak, dlaczego nie można by (nie porównując rysunków) ilustrować powieści historycznych rycinami z odpowiedniej epoki — bywały przecież takie wypadki. To samo dotyczy literatury przedmiotu i przypisów. Wartości literackie by nie uchyły, a walorów poznawczych byłoby więcej. Już, każdy wie, że autor powieści historycznych nie bierze faktów z głowy, ale pokwitowanie źródeł nie powinno być sprawą wstydlwą. Chyba, że się zbyt dokładnie kopie wory, jak np. (by nie wspomnieć żyjących) Kraszewski czy Wł. Łoziński.

**TADEUSZ ZIMECKI: NIEMASZCHLEBA CZYTELNIK: 1964**

Autor tej „opowieści o dziejach wsładniczej na Ziemiach Zachodnich” jest z zawodu reportażystą. Fakt to nie bez znaczenia dla (jak się kiedyś mawiało w szkole) „genery” książki, a także dla jej ostatecznego kształtu.

„Niemaszchleba” — według oświadczenia autora — jest opowieścią prawdziwą. Nie jest bynajmniej przez to mniej ciekawa, chyba odwrotnie.

Reportażowy konkret (warto by się zastanowił przy okazji nad miejscem reportażu we współczesnej literaturze) porwał rozpatrywać książkę w aspekcie historycznym i socjologicznym. Rozpoczynając lekturę byłem pod świeżym wrażeniem ciekawym, choć polskim, filmu pt. „Prawo i pięść” z G. Holoubkiem w roli głównej. Temat filmu nieco zbliżony jest do zawartości pierwszych rozdziałów książki Zimeckiego, w której wszakże „prawo” zdecydowanie nad „pięścią” przeważa. Przejawia „pięści” trafiają się w książce, pojawiają się nawet — smutna ironia losu — w działalności przedstawicieli prawa.

Literacko „Niemaszchleba” nie jest w żadnym wypadku zjawiskiem. Niewątpliwie autor postawił sobie zadanie zbyt trudne: w jednej książce (191 s.) przedstawić dwudziestowieczne dzieje całej wsi to rzeczywiście, po literacku biorąc, nie zbyt łatwe. Być może dlatego książka jest nierówna; ma partie lepiej napisane, żywe — ma i inne, trochę nudzące, mało barwne. Miejmy nadzieję, że w dalszych „opowieściach” Zimeckiego małżeńskie reportażu z powieścią będzie szersze.

B. K.

## KSIAŻKI NADESŁANE PRZEZ PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Paweł Hertz — Ład i Nieład, Warszawa 1964, wydanie pierwsze  
Jerzy Kwiakowski — Klucze do wyobraźni, Warszawa 1964, wydanie pierwsze  
Hanna Morkowicz-Olczakowa — O Stefanie Żeromskim, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

## Glossa do „Przepióreczki”

(Dokończenie ze str. 3)

walecznym ludem myśliwców na niedźwiedzie, na wilki, na losie, otoczony zgrają pochlebców, błaznów, wesółków, śpiewaków oraz mniej ciekawym towarzystwem przyjaciółek...”

Owo leśne uroczysko to Tarczek koło Bodzentyna, leżący na północ od pasma Łysogór. W Tarczku od najdawniejszych czasów znajdowała się myśliwska siedziba biskupów krakowskich. W tej właśnie siedzibie zakończył hulawcze życie Paweł z Przemankowa i podobno w podziemiach miejscowego kościoła romańskiego został pochowany. Było to w roku 1292. Później dwór biskupi przeniósł się do pobliskiego Bodzentyna, gdzie stanął świetny pałac, wzniesiony przez biskupów krakowskich. Ruiny jego przetrwały do naszych czasów.

Szerszy opis puszczańskich życia znajduje się w „Puszczy Jodłowej”. Będą tam przywołane nazwy Tarczka i Bodzentyna, jak też i postać Pawła z Przemankowa. Na szerszą skalę puszczańskie życie zogniskowane w Tarczku (od słowa: targ) opisze doskonale po latach Jarosław Iwaszkiewicz w „Czerwonych tarczach”.

Można by się jeszcze spierać, czy wszystkie szczegóły zamku porębianieckiego dadzą się rozpoznać w bodzentyńskich ruinach. Na pewno nie. Wydaje się, że mamy tu do czynienia z jakąś kontaminacją Bodzentyna i Chęcina (leżących niedaleko Kielec), gdyż położenie i walory widokowe zamku oraz niektóre szczegóły odpowiadałyby ruinom zamku w Chęcinach, pochodzącego z XIV wieku. Za lokalizacją Porębian w okolicach „gór domowych” Żeromskiego przemawia sama nazwa, utworzona jest bowiem od nazwy wsi Porębki położonej na południowym stoku Łysicy.

Tyle szczegółów wywiedzionych z równoległego czytania „Puszczy Jodłowej” i „Uciekła mi przepióreczka”. Dla rozumienia „Przepióreczki” są one być może nieistotne. Dla samego Żeromskiego — tak. Postępowanie Żeromskiego zaprezentowane tutaj potwierdza, że zasadniczy materiał jego utworów brany jest z doświadczeń wyniesionych z ziemi rodzinnej, ten jakby artystyczny uraz objawia się poprzez różne szczyteln. Przy pisaniu swych utworów myślał Żeromskiego krążyła po tych samych torach wyobraźni prowadzących przez sprawy i miejsca najbliższe jego sercu.

Nawet układ dzieł Żeromskiego ma głęboką logikę. Jak kłama spinają je dwa utwory. „Dzienniki”, młodzieńskim piórem zapisujące rajska obraz rodzinnych Ciekot i „gór domowych”. I „Puszcza Jodłowa” — która jest ucieczką dojrzałego Żeromskiego w tamte strony. Jest w tym coś głęboko symbolicznego.

Tadeusz Klak

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium • Redaktor naczelny Maria Bechcysz-Rudnicka, sekretarz redakcji Zygmunt Mikulski • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie oddaje! Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze, instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywała się przedpłata. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN — Zam. 3350 12.X.64. 2.500 R-3